



ŻELAZNE RZĄDY

KSIĘGA 11 KRĘGU CZARNOKSIĘŻNIKA

MORGAN RICE

Kręgu Czarnoksiężnika

Morgan Rice
Żelazne Rządy

«Lukeman Literary Management Ltd»

Rice M.

Żelazne Rządy / M. Rice — «Lukeman Literary Management Ltd»,
— (Kręgu Czarnoksiężnika)

ŻELAZNE RZĄDY (KSIEGA 11 KRĘGU CZARNOKSIEŻNIKA), Gwendolyn musi chronić swoich ludzi podczas oblężenia Królewskiego Dworu. Stara się ewakuować ich poza granice Kręgu – pojawia się jednak pewien problem: jej ludzie nie chcą wyjechać. Wywiązuje się walka o władzę i Gwen po raz pierwszy musi zmierzyć się z tym, że jej panowanie jest zagrożone – dodatkowo wyłania się największe zagrożenie dla Kręgu. Poza McCloudami, pojawia się niebezpieczeństwo w postaci Romulusa i jego smoków, który, po zniszczeniu Tarczy, nadchodzi z katastrofalną inwazją. Nic nie stoi mu na przeszkodzie doszczętnego zniszczenia Kręgu. Romulus, z Luandą przy jego boku, będzie niepokonany przez czas jednej fazy Księżyca, a Gwen musi walczyć o przetrwanie – swoje, swojego dziecka i swoich ludzi. Rozegra się doniosła bitwa z udziałem smoków i ludzi. Kendrick poprowadzi Srebrnych w wymagającej odwagi bitwie. Dołączy do niego Elden i nowi rekruci Legionu. Znajdzie się wśród nich brat Kendricka, Godfrey, który zaskoczy wszystkich swoim zaangażowaniem i aktami bohaterstwa. Jednak i to może okazać się niewystarczające. W tym czasie Thor bierze udział w misji swojego życia na Ziemi Druidów, przemierzając tę przerażającą i magiczną krainę. Krainę inną niż wszystkie, krainę, która rządzi się własnymi, magicznymi prawami. Przemierzenie tej ziemi będzie wymagało całej siły i wszelkich umiejętności jakie posiada Thor. Zmusi go też, aby kopać głębiej i aby stać się wielkim wojownikiem – i Druidem – do czego został przeznaczony. Na swojej drodze napotka on potwory i wiele zdarzeń, z którymi nigdy wcześniej nie miał do czynienia. Aby odnaleźć swoją matkę, będzie musiał poświęcić na szali własne życie. Erec i Alistair docierają na Wyspy Południowe, gdzie są witani przez wszystkich jego ludzi, łącznie z jego rywalizującym bratem i zazdrosną siostrą. Erec odbywa dramatyczne, ostatnie spotkanie z ojcem, a wyspa przygotowuje się na osadzenie na tronie nowego Króla. Jednak na Wyspach Południowych konieczna jest walka o swoje prawo do zasiadania na tronie. W niezapomnianej bitwie Erec zostanie sprawdzony jak nigdy przedtem. Wskutek nagłego zwrotu akcji, dowiemy się, że zdrada kryje się nawet tutaj, w miejscu szlachetnych i wielkich wojowników.

Reece otoczony na Wyspach Górnych musi walczyć o swoje życie, po dokonaniu zemsty na Tirusie. Zdesperowany zawiązuje współpracę ze Starą; podchodzą do siebie ostrożnie, jednak muszą zjednoczyć się w walce o swoje życie. W walce, której kulminacją będzie wielka morska bitwa, zagrażająca całej wyspie. Czy Gwen dla bezpieczeństwa przeprawi się przez morze? Czy Romulus zniszczy Krag? Czy Reece i Stara będą razem? Czy Erec zostanie Królem? Czy Thor odnajdzie swą matkę? Kim stanie się Guwayne? Czy ktokolwiek po tym wszystkim pozostanie przy życiu? Dzięki skomplikowanej budowie świata i charakterystyce postaci, ŻELAZNE RZĄDY są wspaniałą historią o przyjacielach, kochankach, rywalach i zalotnikach, o rycerzach i smokach, intrygach i politycznych machinacjach, o dorastaniu, złamanych sercach, oszustwach, ambicji i zdradzie. Jest to opowieść o odwadze, wierze i przeznaczeniu, o czarnoksiężstwie. Jest to powieść fantasy, która wprowadzi nas do świata, którego nigdy nie zapomnimy. To opowieść nadająca się dla wszystkich,

© Rice M.

© Lukeman Literary Management Ltd

Содержание

ROZDZIAŁ PIERWSZY	14
ROZDZIAŁ DRUGI	18
ROZDZIAŁ TRZECI	23
ROZDZIAŁ CZWARTY	25
ROZDZIAŁ PIĄTY	29
ROZDZIAŁ SZÓSTY	32
ROZDZIAŁ SIÓDMY	39
ROZDZIAŁ ÓSMY	43
Конец ознакомительного фрагмента.	44

Morgan Rice

ŻELAZNE RZĄDY KSIĘGA 11 KŁĘGU CZARNOKSIEŻNIKA

Morgan Rice

Morgan Rice plasuje się na samym szczycie listy USA Today najpopularniejszych autorów powieści dla młodzieży. Morgan jest autorką bestsellerowego cyklu fantasy KŁĘG CZARNOKSIEŻNIKA, złożonego z siedemnastu książek; bestsellerowej serii WAMPIRZE DZIENNIKI, złożonej, do tej pory, z jedenastu książek; bestsellerowego cyklu thrillerów post-apokaliptycznych THE SURVIVAL TRILOGY, złożonego, do tej pory, z dwóch książek; oraz najnowszej serii fantasy KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY, składającej się z dwóch części (kolejne w trakcie pisania). Powieści Morgan dostępne są w wersjach audio i drukowanej, w ponad 25 językach.

PRZEMIENIONA (Księga 1 cyklu Wampirzych Dzienników), ARENA ONE (Księga 1 cyklu Survival Trilogy), WYPRAWA BOHATERÓW (Księga 1 cyklu Kłęg Czarnoksieźnika) oraz POWRÓT SMOKÓW (Księga 1 Królowie i Czarnoksieźnicy) dostępne są nieodpłatnie.

Morgan czeka na wiadomość od Ciebie. Odwiedź jej stronę internetową www.morganricebooks.com i dołącz do listy mailingowej, a otrzymasz bezpłatną książkę, darmowe prezenty, darmową aplikację do pobrania i dostęp do najnowszych informacji. Dołącz do nas na Facebooku i Twitterze i pozostań z nami w kontakcie!

Wybrane komentarze do książek Morgan Rice

„Porywające fantasy, w którego fabułę wplecione są elementy tajemnicy i intrygi. „Wyprawa bohaterów” opowiada o narodzinach odwagi oraz zrozumieniu celu życia, które prowadzi do rozwoju, dojrzałości i doskonałości... Dla miłośników treściwego fantasy – przygody, bohaterowie, środki wyrazu i akcja składają się na barwny ciąg wydarzeń, dobrze ukazujących przemianę Thora z marzycielskiego dzieciaka w młodzieńca, który musi stawić czoła nieprawdopodobnym niebezpieczeństwom, by przeżyć... Zapowiada się obiecująca epicka seria dla młodzieży.”

– *Midwest Book Review* (D. Donovan, eBook Reviewer)

„KŁĘG CZARNOKSIEŻNIKA ma wszystko, czego potrzeba książce, by odnieść natychmiastowy sukces: intrygi, kontryntrygi, tajemnicę, walecznych rycerzy i rozwijające się związki, a wśród nich złamane serca, oszustwa i zdrady. To świetna rozrywka na wiele godzin, która przemówi do każdej grupy wiekowej. Wszyscy fani fantasy powinni znaleźć dla niej miejsce w swojej bibliotece.”

– *Books and Movie Reviews*, Roberto Mattos

“Zajmujące epickie fantasy Morgan Rice [KŁĘG CZARNOKSIEŻNIKA] zawiera klasyczne cechy gatunku – dobrze zbudowaną scenerię, w dużej mierze inspirowaną starożytną Szkocją i jej historią, oraz ciekawie opisany świat dworskich intryg.”

– *Kirkus Reviews*

„Bardzo podoba mi się, jak Morgan Rice zbudowała postać Thora i świat, w którym żyje. Krainy i stwory, które je zamieszkują, są bardzo dobrze opisane... Podobają mi się [fabuła]. Jest krótka i przyjemna... Postaci drugoplanowych jest w sam raz, by się nie pogubić. W książce opisane są przygody i przerażające chwile, lecz akcja nie jest zbyt groteskowa. To książka idealna dla nastoletniego czytelnika... Początki czegoś niezwykłego...”

– *San Francisco Book Review*

“W pierwszej części epickiej serii fantasy Krąg Czarnoksiężnika (obecnie liczy czternaście części), odznaczającej się wartką akcją, autorka zapoznaje czytelników z czternastoletnim Thorgrinem „Thorem” McLeodem, który marzy o tym, by dołączyć do Srebrnej Gwardii, rycerskiej elity, która służy królowi... Styl Rice jest równy, a początek serii intryguje.”

– *Publishers Weekly*

„[WYPRAWA BOHATERÓW] to szybka i łatwa lektura. Zakończenia rozdziałów sprawiają, że musisz przekonać się, co zdarzy się dalej i nie chcesz odkładać tej książki. Jest w niej kilka literówek, a imiona czasem są pomyłone, lecz to nie odwraca uwagi od opisanych wątków. Zakończenie książki sprawiło, że nabrałem ochoty, by natychmiast kupić kolejną część, co też zrobiłem. Wszystkich dziewięć części Kręgu Czarnoksiężnika dostępnych jest w sklepie Kindle, a Wyprawa bohaterów dostępna jest za darmo na zachętę! Jeśli szukasz szybkiej i ciekawej książki na wakacje, ta będzie w sam raz.”

– *FantasyOnline.ne*

Książki Morgan Rice

KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY

POWRÓT SMOKÓW (CZEŚĆ #1)

POWRÓT WALECZNYCH (CZEŚĆ #2)

POTEGA HONORU (CZEŚĆ #3)

KUŹNIA MĘSTWA (CZEŚĆ #4)

KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA

WYPRAWA BOHATERÓW (CZEŚĆ 1)

MARSZ WŁADCÓW (CZEŚĆ 2)

LOS SMOKÓW (CZEŚĆ 3)

ZEW HONORU (CZEŚĆ 4)

BLASK CHWAŁY (CZEŚĆ 5)

SZARŻA WALECZNYCH (CZEŚĆ 6)

RYTUAŁ MIECZY (CZEŚĆ 7)

OFIARA BRONI (CZEŚĆ 8)

NIEBO ZAKŁĘĆ (CZEŚĆ 9)

MORZE TARCZ (CZEŚĆ 10)

ŻELAZNE RZĄDY (CZEŚĆ 11)

KRAINA OGNI (CZEŚĆ 12)

RZĄDY KRÓLOWYCH (CZEŚĆ 13)

PRZYSIĘGA BRACI (CZEŚĆ 14)

SEN ŚMIERTELNIKÓW (CZEŚĆ 15)

THE SURVIVAL TRILOGY

ARENA ONE: SLAVERSUNNERS (CZEŚĆ 1)

ARENA TWO (CZEŚĆ 2)

WAMPIRZYCH DZIENNIKÓW

PRZEMIENIONA (CZEŚĆ 1)

KOCHANY (CZEŚĆ 2)

ZDRADZONA (CZEŚĆ 3)

PRZEZNACZONA (CZEŚĆ 4)

POŻĄDANA (CZEŚĆ 5)

ZAREČZONA (CZEŚĆ 6)

ZAŚLUBIONA (CZEŚĆ 7)

ODNALEZIONA (CZEŚĆ 8)

WSKRZESZONA (CZEŚĆ 9)

UPRAGNIONA (CZEŚĆ 10)

NAZNACZONA (CZEŚĆ 11)

KINGS AND SORCERERS



THE SORCERER'S RING



THE SURVIVAL TRILOGY



the vampire journals





Posłuchaj książek z cyklu KRAĞ CZARNOKSIĘŻNIKA w formie audiobooka!

Copyright © Morgan Rice, 2013

Wszelkie prawa zastrzeżone. Za wyjątkiem wyjątków określonych w ustawie U.S. Copyright Act z 1976 roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, dystrybuowana ani zmieniana (w żadnej formie ani w żadnym znaczeniu) ani przechowywana w bazach danych, czy systemach wyszukiwania treści bez uprzedniej zgody autorki.

Ten ebook przeznaczony jest wyłącznie do osobistego użytku. Nie może on być odsprzedawany, ani oddawany innym ludziom. Jeśli chcesz podzielić się tą książką z inną osobą, prosimy, o zamówienie dodatkowej kopii dla każdego odbiorcy. Jeśli czytasz tę książkę, a nie została ona przez Ciebie zamówiona, albo nie została zamówiona do wyłącznego użycia przez Ciebie, prosimy o jej zwrócenie i zamówienie własnej kopii. Dziękujemy za uszanowanie ciężkiej pracy autorki.

Niniejsze dzieło opisuje historię fikcyjną, imiona, bohaterowie, firmy, organizacje, miejsca, uroczystości i wydarzenia również stanowią wytwór wyobraźni autorki i są fikcyjne. Wszelkie podobieństwa do rzeczywistych osób, żyjących lub martwych, są przypadkowe.

Ilustracja użyta na okładce Copyright Razzomgame, została wykorzystana na licencji Shutterstock.com

*„Istnieje kraina, niegdyś w pożywienie obfita – lecz zmiany nadeszły i
pożogą się pokryła. W miejscu tym w kamieniu szafir tkwił, i złoty pył.”*

*„Koń drwi ze strachu, niczego się nie lęka; przed mieczem nie ugnie się.
W miejscu nie stanie, gdy trąbkę usłyszy. Na dźwięk trąbki rży z uciechą.”*
~ **Księga Hioba**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Reece stał, zastygły w szoku, trzymając dłoń na zatopionym w piersi Tirusa sztylcie. Wszystko wokoło niego poruszało się w zwolnionym tempie, stało się niewyraźną plamą. Zabił właśnie swego największego wroga, mężczyznę, który był odpowiedzialny za śmierć Selese. Z tego powodu Reece odczuwał niezwykłą satysfakcję, czuł, że dokonał zemsty. Wielka krzywda została wreszcie naprawiona.

Zarazem jednak popadł w odrętwienie, w dziwny sposób czuł, że zbliża się ku śmierci i gotował się na kres, który niechybnie musiał teraz nastąpić. Sala wypełniona była ludźmi Tirusa, którzy znieruchomiali w szoku, ujrzawszy, co się zdarzyło. Reece gotował się na śmierć. Nie żałował jednak tego, co uczynił. Radowało go, że otrzymał szansę zabicia tego mężczyzny, który ośmielił się myśleć, iż Reece w istocie go przeprosi.

Reece wiedział, że nie wymknie się śmierci; przeciwników było znacznie więcej, a jedynymi w tej wielkiej sali, którzy trwali po jego stronie, byli Matus i Srog. Srog, ranny, uwięziony, spętany był sznurem, a Matus stał obok niego pod czujnym okiem żołnierzy. Nie będą zbyt pomocni w starciu z tą armią wyspiarzy lojalnych Tirusowi.

Przed śmiercią Reece pragnął dopełnić swej zemsty i uśmiercić tylu wyspiarzy, ilu tylko zdoła.

Tirus osunął się u stóp Reece'a martwy, a on nie wahał się: wyciągnął swój sztylet, obrócił się raptownie i poderżnął gardło jednemu z generałów Tirusa, stojącemu obok niego; w tym samym ruchu odwrócił się prędko i dźgnął innego w serce.

Gdy osłupiała sala ocknęła się i poczęła reagować, Reece działał natychmiast. Dobył dwu mieczy z pochew dwu konających mężczyzn i natarł na stojącą naprzeciw niego grupę żołnierzy. Położył trupem sześciu, nim zdążyli zareagować.

Setki wojowników ruszyły wreszcie do walki, nacierając na Reece'a z każdej strony. Reece przywołał w pamięci swe szkolenie z Legionem, wszystkie razy, gdy zmuszony był walczyć z liczniejszym przeciwnikiem, i gdy otoczyli go teraz z każdej strony, uniósł oburącz miecz. Nie spowalniała go zbroja – jak tych wojowników – pas z orężem ani tarcza; był lżejszy i szybszy niż oni wszyscy, a do tego rozwścieczony, osaczony i toczył bój o swe życie.

Reece walczył mężnie, poruszał się szybciej niż każdy jeden z nich, wspomniawszy wszystkie chwile, w których ćwiczył się z Thorem, najświetniejszym wojownikiem, z jakim przyszło mu walczyć, wspomniawszy, jak bardzo jego zdolności się poprawiły. Zabijał jednego wojownika po drugim. Jego miecz odbijał się ze szczękiem o miecze niezliczonych przeciwników, a skry sypały się, gdy siekł we wszystkie strony. Ciął raz po raz, aż ramiona poczęły mu omdlewać, uśmiercając tuzin mężów, nim ci zdołali choćby mrugnąć.

Jednakże napływało ich wciąż coraz. Było ich po prostu zbyt wielu. W miejsce każdych sześciu, którzy padali, pojawiał się tuzin nowych. Zbiegali się i napierali na niego ze wszystkich stron i gęstwa żołnierzy stawała się coraz bardziej zbita. Reece dyszał ciężko i nagle poczuł, jak miecz tnął jego ramię. Wykrzyknął z bólu, a z jego bicepsa pociekła krew. Obrócił się raptownie i dźgnął mężczyznę między żebra, lecz rana została już zadana. Był teraz ranny, a zewsząd nadbiegało coraz więcej mężczyzn. Wiedział, iż jego czas nadszedł.

Uświadomił sobie z zadowoleniem, że przynajmniej polegnie mężnie, w boju.

– REECE!

Powietrze przeszył nagły krzyk, głos, który Reece natychmiast rozpoznał.

Kobiecy głos.

Reece znieruchomiał, gdy dotarło do niego, do kogo należał. Był to głos jedynej kobiety na świecie, która zdolna była jeszcze zwrócić jego uwagę, nawet pośród tego wielkiego starcia, nawet podczas jego ostatnich chwil:

Stary.

Reece podniósł wzrok i ujrzał ją na szczycie drewnianych trybun, które biegły wzdłuż ścian sali. Stała wysoko ponad wszystkimi z zaciętym wyrazem twarzy, a żyły na jej szyi nabrzmiały, gdy wołała do niego. Spostrzegł, że trzyma w rękach łuk i strzałę i widział, że obiera na cel coś po drugiej stronie pomieszczenia.

Reece podążył wzrokiem za jej spojrzeniem i spostrzegł, w co mierzy: grubą linę, długą na pięćdziesiąt stóp, mocującą potężnych rozmiarów metalowy żyrandol o średnicy trzydziestu stóp, której drugi koniec zatknięty był na żelaznym haku wbitym w kamienną podłogę. Konstrukcja była gruba niby pień drzewa i mieściło się na niej kilka setek płonących świec.

Reece pojął, że Stara zamierza przestrzelić linę. Jeśli trafi, żyrandol runie w dół – i zmiażdży połowę mężczyzn w sali. Gdy Reece podniósł wzrok, uświadomił sobie, że stoi dokładnie pod nim.

Stara ostrzegała go, by się usunął.

Ogarnięty paniką Reece poczuł, jak serce tłucze mu się w piersi. Odwrócił się, opuścił miecz i rzucił się w grupę napastników, usiłując usunąć się na bok, nim żyrandol spadnie. Kopał i uderzał łokciami i głową żołnierzy, by odepchnąć ich ze swej drogi, i przedzierał się przez tłum. Reece pamiętał z dzieciństwa, że Stara była wyśmienitym strzelcem – zawsze radziła sobie lepiej od chłopców – i wiedział, że nie chybi. I choć biegnąc odsłaniał plecy w stronę mężczyzn, którzy ruszyli za nim, ufał jej wiedząc, że trafi.

Chwilę później Reece usłyszał dźwięk strzały przeszywającej powietrze, trzask pękającej liny i zrywającego się ogromnego kawału żelaza, który runął prosto w dół, przecinając powietrze z pełną prędkością. Rozległ się głośny huk i cała sala zatrzęsa się, a Reece się przewrócił. Leżał, upadłszy na kamienną posadzkę na dłonie i kolana, i poczuł na plecach podmuch powietrza. Żyrandol ominął go jedynie o kilka stóp.

Reece usłyszał krzyki i obejrzawszy się przez ramię ujrzał szkody, jakie wyrządziła Stara: tuziny mężczyzn leżały przygwożdżone żyrandolem, dokoła było pełno krwi i rozlegały się krzyki miażdżonych na śmierć. Ocalała mu życie.

Reece podniósł się, rozglądając w poszukiwaniu Stary i spostrzegł, iż teraz to ona znajduje się w niebezpieczeństwie. Kilku mężczyzn nacierało na nią i choć mierzyła w nich z łuku, wiedział, że zdoła wypuścić tylko kilka strzał.

Odwróciła się i spojrzała nerwowo na drzwi, zakładając najwyraźniej, że uciekną tamtędy. Lecz gdy Reece podążył wzrokiem za jej spojrzeniem, serce zamarło mu na widok tuzinów ludzi Tirusa spieszących w tamtą stronę i zamykających je, ryglując dwa wielkie skrzydła drzwi grubą, drewnianą belką.

Byli uwięzieni, wszystkie wyjścia zostały zagrodzone. Reece wiedział, że zginą tutaj.

Zobaczył, że Stara rozgląda się gorączkowo po sali, aż jej oczy zatrzymały się na najwyższym rzędzie drewnianych trybun przy tylnej ścianie.

Gestem wskazała Reece'owi, by biegł w tamtą stronę, i sama także rzuciła się w tamtym kierunku. Reece nie miał pojęcia, co też chodziło jej po głowie. Nie widział tam żadnego wyjścia. Ona jednak знаła ten zamek lepiej niż on i być może obmyśliła drogę ucieczki, której on nie dostrzegł.

Reece odwrócił się i puścił biegiem przed siebie, torując sobie drogę wśród mężczyzn, którzy zaczęli się przegrupowywać i atakować go. Biegnąc co sił w nogach, walczył tyle tylko, ile było konieczne. Starł się nie angażować w walkę, usiłując raczej wyciąć wąską ścieżkę przez tłum i przedostać się do przeciwległego rogu sali.

Biegnąc, Reece obejrzał się w poszukiwaniu Sroga i Matusa, zdecydowany pomóc im także, i z radością spostrzegł, że Matus chwycił miecze żołnierzy, którzy stali obok i dźgnął obu; zobaczył, że szybkim ruchem przecina sznury krępujące Sroga i uwalnia go, a ten chwytając miecz i zabija kilku zbliżających się do nich żołnierzy.

– Matusie! – krzyknął Reece.

Matus obrócił się i spojrzał w jego stronę. Ujrzał Starę przy ścianie po drugiej stronie sali i spostrzegł, dokąd biegnie Reece. Szarpnął Sroga, odwrócili się i także puścili biegiem w tamtym kierunku. Wszyscy biegli teraz w tę samą stronę.

Gdy Reece przedzierał się przez pomieszczenie, tłum stawał się coraz luźniejszy. Tutaj, w tym odległym rogu sali, nie było tak wielu żołnierzy, w przeciwieństwie do przeciwległego rogu, do zaryglowanego wyjścia, gdzie zbierali się wszyscy mężczyźni. Reece modlił się, by Stara wiedziała, co robi.

Stara biegła wzdłuż drewnianych trybun, wskakując na coraz wyższe rzędy, kopniakami odpychając mężczyzn, którzy wyciągali ręce, by ją schwytać. Podążając za nią wzrokiem i próbując dogonić, Reece wciąż nie wiedział, dokąd dokładnie Stara zmierza, ani jaki ma plan.

Reece dobiegł do położonego po drugiej stronie rogu sali i wskoczył na trybuny, na pierwszy rząd drewnianych siedzisk, następnie kolejny, i kolejny, wspinając się coraz wyżej i wyżej, aż znalazł się dobre dziesięć stóp nad wszystkimi, na najdalszej, najwyższej drewnianej ławie przy ścianie. Zrównał się ze Starą, a następnie zetknęli się przy ścianie z Matusiem i Srogiem. Znacznie wyprzedzili pozostałych żołnierzy, poza jednym, który rzucił się na Starę od tyłu. Reece przyskoczył naprzód i dźgnął go w serce, nim zdołał opuścić sztylet na plecy Stary.

Stara uniosła łuk i odwróciła się do dwu żołnierzy zamierzających się na odsłonięte plecy Reece'a z mieczami i trafiła obydwo.

Stali we czworo, zwrócenie plecami do ściany w rogu pomieszczenia, na najwyższej trybunie, i gdy Reece rozejrzał się, ujrzał stu mężczyzn pędzących przez salę, otaczających ich. Byli teraz uwięzieni w rogu, nie mając dokąd uciec.

Reece nie rozumiał, dlaczego Stara doprowadziła ich tam. Nie dostrzegając żadnych możliwych dróg ucieczki, był pewny, że wkrótce wszyscy zginą.

– Jaki masz plan? – wrzasnął do niej, gdy stanęli obok siebie, odpierając mężczyzn. – Tu nie ma żadnego wyjścia!

– Spójrz w górę – odparła.

Reece podniósł głowę i ujrzał nad nimi drugi żelazny żyrandol z długą liną, której jeden koniec umocowany był w podłodze tuż obok niego.

Reece zmarszczył brwi, zdeorientowany.

– Nie rozumiem – powiedział.

– Lina – rzekła. – Schwyć ją. Wszyscy ją schwyćcie. I trzymajcie, ile sił w rękach.

Zrobili, jak im rzekła. Każdy z nich schwytał się liny obojgiem rąk i trzymał mocno. Nagle do Reece'a dotarło, co Stara zamierza zrobić.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? – zawołał.

Było już jednak za późno.

Gdy zbliżył się do nich tuzin żołnierzy, Stara chwyciła miecz Reece'a, skoczyła w jego ramiona i przecięła linę, która podtrzymywała żyrandol.

Reece poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła, gdy nagle, trzymając się kurczowo liny i siebie nawzajem, cała czwórka wystrzeliła w zawrotnym tempie w górę, zaciskając dłonie z całych sił. Żelazny żyrandol runął w dół, zmiażdżył mężczyzn pod nimi, a ich czworo wyrzucił wysoko w górę, rozkołysanych na linie.

Lina wreszcie przestała się huśtać i zawiśli w górze, kołysząc się w powietrzu, dobre pięćdziesiąt stóp nad salą.

Reece spojrzał w dół, pocąc się, niemal wypuszczając linę z rąk.

– Tam! – zawołała Stara.

Reece odwrócił się i ujrzawszy przed sobą ogromne okno witrażowe, zrozumiał jej plan. Szorstka lina wżynała mu się w dłonie i poczynił ześlizgiwać się od potu. Nie wiedział, jak długo jeszcze zdoła się utrzymać.

– Ześlizguj się! – zawołał Srog, robiąc co w jego mocy, by utrzymać się mimo swych ran.

– Musimy się rozhuścić! – krzyknęła Stara. – Musimy nabrać rozpędu! Odepchnijcie się od ściany!

Reece poszedł za jej przykładem: nachylił się w przód i razem z pozostałymi odepchnął się od ściany, coraz mocniej rozkołysując linę. Odpychali się raz po raz, aż po jednym, ostatnim kopnięciu przelecieli aż na drugą stronę, niby wahadło, i skulili się, z krzykiem zmierzając w stronę ogromnego witrażowego okna.

Szkło rozprysło się i rozsypało dokoła nich. Wypuścili linę z rąk i upadli na szeroki kamienny występ u podnóża okna.

Stali pięćdziesiąt stóp nad salą. Do środka wdzierало się zimne powietrze. Reece spojrzał w dół i po jednej stronie ujrzał wnętrze sali i setki żołnierzy patrzących w ich stronę, zastanawiających się, jak ich ścigać; po drugiej stronie przed fortem. Na zewnątrz lało jak z cebra. Szalał wicher i zaciął deszcz, a spadek pod nimi miał dobre trzydzieści stóp. Spadając stamtąd, z pewnością można było złamać nogę. Reece ujrzał jednak w dole kilka wysokich krzewów, widział też, że ziemia jest mokra i miękka, błotnista. Spadaliby długo i lądowanie byłoby twarde, lecz może zostałoby wystarczająco złagodzone.

Nagle Reece krzyknął, czując, jak metal przeszywa jego ciało. Opuścił wzrok, zacisnął dłoń na ramieniu i zdał sobie sprawę, że drasnęła go strzała, aż pociekła krew. Rana była niewielka, lecz piekła.

Reece obrócił się i spojrzał przez ramię, i ujrzał, że tuziny ludzi Tirusa mierzą w nich i wypuszczają strzały, które nadlatywały teraz ze świstem ze wszystkich stron.

Reece wiedział, że nie mają czasu do stracenia. Spojrzał na boki i ujrzał Starę po jednej stronie, a Matusa i Sroga po drugiej. Stali z szeroko rozwartymi ze strachu oczyma, wpatrując się w znajdujący się pod nimi spadek. Reece chwycił dłoń Stary, wiedząc, iż zeskoczą teraz albo nigdy.

Bez słowa, wiedząc, co trzeba zrobić, zeskoczyli. Spadali z krzykiem w chłoszczącym deszczu i wietrze, młócąc w powietrzu rękoma. Reece nie potrafił powstrzymać się przed myślą, czy unikając jednej pewnej śmierci, nie skoczył prosto w drugą.

ROZDZIAŁ DRUGI

Godfrey uniósł łuk drżącymi rękoma, wychylił się za balustradę i namierzył. Zamierzał obrać cel i od razu wypuścić strzałę – lecz gdy spojrział w dół, przyklęknął, zastygł w szoku. W dole szarżę przypuszczały tysiące żołnierzy McClouda. Dobrze wyszkolona armia zalała ziemię, zmierzając prosto ku bramom Królewskiego Dworu. Tuziny żołnierzy biegly naprzód z żelaznym taranem i raz po raz waliły nim w żelazną bronę, aż trzęsły się mury i kamienie pod stopami Godfrey'a.

Godfrey stracił równowagę i wystrzelił, a strzała poszybowała w powietrzu, nie czyniąc nikomu krzywdy. Wyciągnął kolejną i nałożył na cięciwę łuku, a serce tłukło mu się mocno, gdyż miał całkowitą pewność, że zginie tutaj, dzisiaj. Wychylił się za krawędź, lecz nim zdołał wypuścić strzałę, wymierzony z dołu kamień z procy uderzył w jego żelazny hełm.

Rozległ się głośny brzęk i Godfrey upadł w tył, wypuszczając strzałę prosto w górę. Gwałtownym ruchem ściągnął hełm i potarł obolałą głowę. Nie wiedział, że uderzenie kamieniem może tak bardzo boleć; zdawało mu się, że dźwięk uderzanego żelaza rozchodzi mu się echem aż w czaszce.

Godfrey zastanawiał się, w co też się wpakował. W rzeczy samej, postąpił bohatersko, pomógł, powiadamiając całe miasto o najeździe McCloudów, dzięki czemu zyskali odrobinę cennego czasu. Być może ocalił nawet komuś życie. Z pewnością ocalił swą siostrę.

Lecz oto był tu teraz, ledwie z kilkoma tuzinami żołnierzy – spośród których ani jeden nie był Gwardzistą, nie był rycerzem – i bronił opuszczonego miasta przed całą armią McCloudów. Te żołnierskie sprawy nie były dla niego.

Rozległ się głośny trzask i Godfrey znów zachwiał się, gdy brona ustąpiła.

Przez otwarte bramy miasta do środka z krzykiem wsypały się tysiące mężczyzn spragnionych rozlewu krwi. Przysiadając na balustradzie, Godfrey wiedział, że to tylko kwestia czasu, nim dotrą tu, na górę, nim poniesie śmierć w boju. Czy taki właśnie był los żołnierza? Czy taki właśnie był los dzielnych i nieustraszonych? Zginać, by inni mogli żyć? Teraz, gdy spoglądał śmierci w twarz, nie był wcale przekonany, czy to taki dobry pomysł. Wspaniale było być żołnierzem, być bohaterem; lecz pozostanie przy życiu było lepsze.

Gdy Godfrey rozmyślał nad tym, by się wycofać, by uciec i gdzieś się skryć, nagle kilku McCloudów wdarło się na górę, biegnąc jeden za drugim. Godfrey ujrzał, jak jednego z jego kompanów zostaje dźgnięty i z jękiem osuwa się na kolana.

I wtedy po raz kolejny zdarzyło się to samo. Choć do bycia żołnierzem podchodził racjonalnie, w Godfreyu obudziło się coś, nad czym nie potrafił zapanować. Coś nie pozwalało mu przyglądać się bezczynnie cierpieniu innych. Gdyby chodziło jedynie o niego samego, nie zebrałby się na odwagę; lecz gdy widział swych kompanów w opałach, coś przejmowało nad nim kontrolę – pewna brawura. Można by ją nawet nazwać męstwem.

Godfrey zareagował bez zastanowienia. Chwycił długą pikę i ruszył na rząd McCloudów, którzy pędzili po schodach, jeden po drugim wzdłuż balustrad. Wyrzucił z siebie głośny krzyk i trzymając mocno pikę, natarł na pierwszego mężczyznę. Sporych rozmiarów metalowe ostrze przeszło przez jego pierś, a Godfrey biegł dalej, używając ciężaru swego ciała, nawet swego pokaźnego brzucha, by odepchnąć ich wszystkich.

Ku jego własnemu zdumieniu, Godfreyowi powiodło się. Zepchnął rząd mężczyzn w dół spiralnych kamiennych schodów, z dala od balustrad, w pojedynkę odpierając przypuszczających szarżę McCloudów.

Skończywszy, Godfrey upuścił pikę, zadziwiony swym zachowaniem. Sam nie wiedział, co go naszło. Jego kompani także wyglądali na zdumionych, jak gdyby nie spodziewali się, że potrafi zdobyć się na taki czyn.

Gdy Godfrey zastanawiał się, jak teraz postąpić, decyzję podjęto za niego. Kątem oka spostrzegł jakiś ruch. Odwrócił się i ujrzał kolejny tuzin McCloudów nacierających na nich z boku, wbiegających po drugiej stronie.

Nim Godfrey zdołał bronić się, dopadł go pierwszy żołnierz, dzierżący w dłoni ogromny bojowy młot, którym zamachnął się na jego głowę. Godfrey wiedział, że cios roztrzaskałby mu czaszkę.

Uchylił się więc – tę umiejętność jako jedną z nielicznych opanował – i młot przeleciał nad jego głową. Wtedy Godfrey natarł ramieniem na żołnierza i odepchnął go w tył.

Godfrey odpychał go coraz dalej i dalej, aż poczęli mocować się przy krawędzi balustrady, walcząc wręcz, próbując udusić jeden drugiego. Mężczyzna był silny, lecz Godfreyowi także nie brak było siły. Był to jeden z darów, których los mu nie poskąpił.

Mocowali się, spychając jeden drugiego to w jedną, to w drugą stronę, aż nagle obaj przetoczyli się przez krawędź.

Lecieli w powietrzu, trzymając się jeden drugiego, dobre piętnaście stóp w dół. Godfrey obracał się w powietrzu, żywiąc nadzieję, że zdoła wylądować na żołnierzu, a nie on na nim. Wiedział, że ciężar tego mężczyzny i jego zbroi zmiażdżyłby go.

Godfrey odwrócił się w ostatniej chwili i wylądował na mężczyźnie. Żołnierz jęknął, gdy Godfrey upadł na niego, pozbawiając przytomności.

Godfrey także nie wyszedł z tego bez szwanku – upadek pozbawił go tchu. Uderzył się w głowę i stoczył z mężczyzny. Bolała go każda jedna kość. Leżał tak przez sekundę, nim świat wokół zawirował i Godfrey stracił przytomność, leżąc obok swego wroga. Ostatnim widokiem, jaki ujrzał, była armia McCloudów wpadająca do Królewskiego Dworu, jak gdyby należał do nich.

*

Elden stał na polach ćwiczebnych Legionu z rękoma wspartymi na biodrach. U jego boku stali Conven i O'Connor i we trzech czuwali nad szkoleniem rekrutów, z którymi pozostawił ich Thorgrin. Elden przypatrywał się wprawnym okiem galopującym w tę i z powrotem po polu chłopców, próbujących przeskoczyć rowy i przeszyć włóczniami wiszące cele. Niektórym chłopcom się nie udawało i wpadali razem ze swymi wierzchowcami do rowów; innym się powodziło, lecz chybiali celu.

Elden pokręcił głową, usiłując przypomnieć sobie, jak on radził sobie, gdy rozpoczynał szkolenie w Legionie. Próbował czerpać otuchę z faktu, że w ciągu ostatnich kilku dni ci chłopcy poprawili się już. Wciąż wiele brakowało im jednak do zahartowanych wojowników, którymi musieli się stać, nim mógłby przyjąć ich jako rekrutów. Ustawił poprzeczkę bardzo wysoko, wiedząc, że spoczywa na nim ogromna odpowiedzialność, by przynieść Thorgrinowi i pozostałym chlubę; także Conven i O'Connor nie przystaliby na niższy poziom.

– Panie, przynoszę wieści.

Elden odwrócił się i ujrzał jednego z rekrutów, Mereka, dawnego złodziejaszka, zbliżającego się ku niemu biegiem z szeroko otwartymi oczyma. Elden, wyrwany z zamyślenia, rozgniewał się.

– Chłopcze, mówiłem ci, byś nigdy nie przeszkadzał...

– Ale panie, nie rozumiecie! Musicie...

– Nie, to TY nie rozumiesz – odparł Elden. – Gdy rekruci ćwiczą się, nie możesz...

– Spójrzcie! – wrzasnął Merek, chwytając go i wskazując palcem.

Elden, rozwścieczony, już miał złapać Mereka i odepchnąć go, lecz spojrzał w stronę widnokregu i zamarł. Nie rozumiał, co się dzieje. Tam, na horyzoncie, unosiły się ogromne kłęby czarnego dymu. Wzbijały się ponad Królewskim Dworem.

Elden zamrugał, nie pojmując. Czyżby Królewski Dwór płonął? Jakim sposobem?

W oddali rozległy się głośnie wiwaty, wiwaty armii – oraz dźwięk ustępującej brony. Eldenowi serce zamarło; przypuszczano szturm na bramy Królewskiego Dworu. Wiedział, że może to oznaczać

tylko jedno – atak zawodowej armii. Właśnie dziś, spośród wszystkich dni, w Dzień Pielgrzymki, najeżdżano Królewski Dwór.

Conven i O'Connor rzucili się do działania. Zakrzyknęli do rekrutów, by przerwali to, czym byli zajęci, i zwołali ich wszystkich.

Rekruci pospieszyli ku nim, a Elden dał krok naprzód i stanął obok Convena i O'Connora. Chłopcy ucichli i stojąc na baczność, czekali na rozkazy.

– Posłuchajcie – zagrmiał Elden. – Królewski Dwór został zaatakowany!

Wśród chłopców przeszedł szmer zdziwienia i wzburzenia.

– Nie jesteście jeszcze legionistami, a już z pewnością nie jesteście Gwardzistami ani zahartowanymi w boju wojownikami, od których oczekuje się, by stanęli naprzeciw zawodowej armii. Mężczyźni, którzy nas najeżdżają, pragną naszej śmierci i jeśli staniecie z nimi do walki, możecie stracić życie. Convenowi, O'Connorowi i mnie obowiązek nakazuje bronić naszego miasta i ruszymy teraz do boju. Nie spodziewam się, że którykolwiek z was do nas dołączy; tak naprawdę odradzałbym wam to. Jeśli jednak któryś z was pragnie do nas dołączyć, niech wystąpi naprzód teraz, wiedząc, że dziś na polu bitewnym może stracić życie.

Nastąpiła chwilowa cisza, po czym nagle każdy jeden ze stojących przed nimi chłopców wystąpił naprzód odważnie, szlachetnie. Na ten widok serce Eldena wezbrało dumą.

– Dziś wszyscy staliście się mężczyznami.

Elden dosiadł swego konia i pozostali ruszyli za nim. Wypuścili z siebie głośny okrzyk i ruszyli naprzód jak jeden mąż, jak mężczyźni, by dla swych ludzi postawić na szali swe życie.

*

Elden, Conven i O'Connor przewodzili, a za nimi z wyciągniętą bronią galopowało stu rekrutów, pędząc co koń wyskoczy w kierunku Królewskiego Dworu. Zbliżywszy się, Elden ze zdumieniem dojrzał kilka tysięcy żołnierzy McCloudów szturmujących bramę, dobrze zorganizowaną armię wyraźnie wykorzystującą Dzień Pielgrzymki, by podstępem zdobyć Królewski Dwór. Przeciwnika było dziesięciokrotnie więcej.

Jadący na przędzie Conven uśmiechnął się.

– Właśnie takie szanse lubię! – wrzasnął, puszczając się do przodu z głośnym okrzykiem, wyprzedzając pozostałych, chcąc uderzyć jako pierwszy. Conven uniósł wysoko swój topór bojowy, a Elden patrzył z podziwem i troską, jak Conven z brawurą w pojedynkę przypuszcza atak na tyły armii McClouda.

McCloudowie nie zdążyli zareagować, a Conven już zamachiwał się toporem jak szaleniec i uśmiercał po dwóch naraz. Wpadłszy w gęstwę żołnierzy, rzucił się ze swego konia i powalił trzech wojowników, strącając ich z koni na ziemię.

Elden i pozostali gnali tuż za nim. Uderzyli w resztę McCloudów, którzy reagowali zbyt wolno, nie spodziewając się ataku na tyłach. Elden siekł mieczem z gniewem i zręcznością, dając legionistom przykład tego, jak powinno się walczyć, używając swej ogromnej siły, by kłaść trupem jednego po drugim.

Bitwa stała się zacięta, walczyli teraz wręcz. Ich niewielka siła zbrojna zmusiła McCloudów, by zwrócili się w przeciwnym kierunku i bronili się. Wszyscy legioniści włączyli się do bitwy, bez cienia strachu wpadając w jej środek i uderzając na McCloudów. Kątem oka Elden spostrzegł walczących chłopców i z dumą zauważył, że żaden z nich się nie zawahał. Wszyscy walczyli jak prawdziwi mężczyźni, choć przeciwnika było setki więcej. Żaden z nich nie zważał na to. McCloudowie padali na lewo i prawo, zaskoczeni.

Wkrótce szala zwycięstwa poczęła jednak przechylać się na drugą stronę, gdy trzon armii McCloudów przyszedł w sukurs oddziałom na tyłach i Legion zetknął się z zawodowymi żołnierzami. Niektórzy legioniści poczęli padać. Merek i Ario przyjęli ciosy mieczem, lecz utrzymali się na

koniach, parując i strącając swych przeciwników. Wtem jednak dwóch żołnierzy zamachnęło się na nich kiścieniami i chłopcy spadli ze swych wierzchowców. Jadący u boku Mereka O'Connor wypuścił kilka strzał, kładąc żołnierzy dokoła nich, nim zdzielono go tarczą w bok i strącono z konia. Elden, otoczony ze wszystkich stron, nie mógł polegać już na elemencie zaskoczenia. Przyjął potężny cios młotem w żebra i cięcie mieczem w przedramię. Odwrócił się i zrzucił mężczyzn z koni – lecz wtem pojawiło się czterech kolejnych. Conven walczył desperacko na nogach, zamachując się toporem na prawo i lewo na konie i mężczyzn, którzy nacierali obok niego – aż w końcu przyjął cios młotem od tyłu i padł twarzą w błoto.

Zjawiły się kolejne dziesiątki żołnierzy McCloudów, którzy pozostawili bramę, by stawić im czoła. Elden widział coraz mniej swych ludzi i wiedział, że wkrótce wszystkich ich rozgromią. Lecz nie zważał na to. Królewski Dwór był atakowany i oddałby życie, by go bronić, by bronić tych mających zaciągnąć się do Legionu chłopców, u boku których walczył z tak wielką dumą. To czy byli chłopcami, czy mężczyznami, nie miało już znaczenia – przelewali krew wraz z nim i tego dnia, przeżyją czy nie, wszyscy byli braćmi.

*

Kendrick galopował w dół zbocza Góry Pielgrzymów, a za nim podążały tysiące Gwardzistów. Żaden z nich nie gnał nigdy szybciej. Pędzili co koń wyskoczy ku czarnemu dymowi widocznemu na widnokręgu. Kendrick ganił się w myślach, jadąc. Wyrzucał sobie, że nie obsadził bramy większą liczbą żołnierzy. Nie spodziewał się takiego ataku w dniu takim jak ten, a nade wszystko nie ze strony McCloudów, którzy – jak sądził – uspokoili się pod rządami Gwen. Wszyscy oni zapłacą za przypuszczenie szturm na jego miasto, za to, że wykorzystali ten święty dzień.

Wokoło niego jego bracia w sile tysiąca, prowadzeni gniewem Gwardziści, gnali co tchu. Zrezygnowali ze swej świętej pielgrzymki, zdecydowani pokazać McCloudom, na co stać Srebrną Gwardię, i sprawić, by McCloudowie zapłacili raz na zawsze. Kendrick poprzysiągł, że gdy skończy, ani jeden z McCloudów nie pozostanie przy życiu. Ich strona Pogórza nigdy już nie powstanie.

Zbliżywszy się, Kendrick spojrzał przed siebie i spostrzegł, iż rekruci z Legionu walczą mężnie, dojrzał pośród nich Eldena, O'Connora i Convena. Wróg miał nad nimi znaczną przewagę liczebną, lecz żaden z nich nie cofnął się przed McCloudami. Jego serce wezbrało dumą. Widział jednak, że lada moment wszystkich ich rozgromią.

Kendrick krzyknął i jeszcze mocniej spiął konia, prowadząc swych ludzi. Przyspieszyli, raz jeszcze rzucając się do przodu. Kendrick wybrał długą włócznię i gdy znalazł się wystarczająco blisko, cisnął nią; jeden z generałów McCloudów odwrócił się w sam czas, by ujrzeć szybującą w powietrzu i przeszywającą jego pierś broń. Cios był wystarczająco silny, by przebić zbroję.

Z gardeł tysięcy rycerzy za Kendrickiem dobył się głośny krzyk: zjawiła się Srebrna Gwardia.

McCloudowie odwrócili się. Ujrzeni ich i w ich oczach po raz pierwszy odmalował się prawdziwy strach. Tysiąc rycerzy Srebrnej Gwardii w lśniących zbrojach jechało jak jeden, niby staczająca się z góry nawałnica, z dobytymi mieczami. Każdy z nich był wprawnym zabójcą, a w ich oczach nie kryła się ani krztyna wahania. McCloudowie zwrócili się w ich stronę, lecz z trwogą.

Gwardziści spadli na nich, na swe miasto rodzinne. Kendrick, który przewodził szarzy, dobył swego topora i władał nim zręcznie, zadając ciosy i strącając kilku jeźdźców z ich koni; drugą ręką dobył miecza i wpadając w gęstwę żołnierzy dźgnął kilku przeciwników we wszystkie odsłonięte miejsca w ich zbroi.

Gwardziści przedzierali się przez żołnierzy niby fala zniszczenia, i czynili to z wielką wprawą. Żaden z nich nie poczuł się swobodnie, póki nie został całkowicie otoczony w wirze bitwy. W takim miejscu Gwardzista czuł się jak w domu. Cięli i dźgali wszystkich McCloudów wokoło, którzy w porównaniu z nimi zdawali się być nowicjuszami. Krzyki rozlegały się coraz głośniejsze, gdy kładli McCloudów na wszystkie strony.

Żaden z nich nie był w stanie powstrzymać Gwardzistów, którzy byli zbyt szybcy, przebiegli, silni i zręczni i walczyli jak jeden, jak szkolono ich od dnia, w którym nauczyli się chodzić. Ich prędkość i umiejętności przerażały McCloudów, którzy przy tych wspaniałych wyćwiczonych rycerzach zdawali się być zwykłymi żołnierzami. Elden, Conven, O'Connor i pozostali legionieści, ocaleni przez zbliżające się posiłki, podnieśli się i, choć ranieni, włączyli się do walki, wzmagając jeszcze rozpęd Gwardzistów.

Po kilku chwilach setki McCloudów leżały martwe, a tych, którzy pozostali przy życiu, ogarnęła wielka panika. Jeden po drugim zwracali się w przeciwnym kierunku i uciekali. McCloudowie wylewali się z bram miasta, usiłując uciec z Królewskiego Dworu.

Kendrick był zdeterminowany nie pozwolić im na to. Ruszył ku bramom miasta, a jego ludzie za nim, i zagroził drogę chcącym uciec. Utworzyło się coś na kształt leja i dopadali McCloudów, gdy docierali do przewężenia w bramie miasta – tej samej, na którą przypuścili szturm zaledwie kilka godzin wcześniej.

Kendrick siekł dwoma mieczami, zabijając ludzi na prawo i lewo i wiedział, że niebawem każdy McCloud będzie martwy, a Królewski Dwór znajdzie się na powrót w ich rękach. Ryzykując życie dla swej ziemi, czuł, że żyje.

ROZDZIAŁ TRZECI

Luandzie drżały dłonie, gdy szła, stawiając krok za krokiem, długim przejściem nad Kanionem. Z każdym krokiem czuła, że jej życie zbliża się ku końcowi, czuła, że opuszcza jeden świat i wkracza w inny. Na ledwie kilka kroków przed przejściem na drugą stronę czuła, jak gdyby miały to być jej ostatnie kroki na ziemi.

Zaledwie kilka kroków od niej stał Romulus, a za nim milion jego imperialnych żołnierzy. Wysoko nad jej głową, rycząc przeraźliwie, latały tuziny smoków, najstraszniejszych stworów, na jakich kiedykolwiek spoczęły oczy Luandy. Uderzały skrzydłami o niewidzialną ścianę, o Tarczę. Luanda wiedziała, że gdy postawi kolejnych kilka kroków, gdy opuści Krag, Tarcza opadnie na dobre.

Spojrzała przed siebie, na los, który ją czekał, pewną śmierć, którą poniesie z rąk Romulusa i jego brutalnych ludzi. Tym razem było jej już jednak wszystko jedno. Wszystko, co kochała, zostało jej odebrane. Jej mąż, Bronson, mężczyzna, którego kochała nade wszystko na świecie, został zabity – i to wszystko z winy Gwendolyn. Gwendolyn była winna wszystkiemu. Teraz nadszedł wreszcie czas zemsty.

Luanda zatrzymała się stopę od Romulusa. Utkwili w sobie wzajemnie spojrzenia, wpatrując się jedno w drugie przez niewidoczną granicę. Romulus był groteskowym człowiekiem, muskularnym, dwukrotnie szerszym niż jakikolwiek mężczyzna. Jego barki były tak umięśnione, że kark ginął pośród nich. Miał potężną szczękę, ogromne, rozbiegane czarne oczy, niby dwa kawałki marmuru, a jego głowa była zbyt duża w stosunku do reszty ciała. Wpatrywał się w nią jak smok przypatrujący się swej zdobyczy i Luanda nie miała wątpliwości, że rozniesie ją na strzępy.

Wpatrywali się w siebie w pełnej napięcia ciszy, a na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie i wykwitł okrutny uśmiech.

– Nie sądziłem, że jeszcze cię ujrzę – rzekł. Głos jego był głęboki, gardłowy, i poniósł się echem przez to okropne miejsce.

Luanda zamknęła oczy i usiłowała sprawić, by Romulus zniknął. By całe jej życie zniknęło.

Jednak gdy otworzyła oczy, on nadal tam stał.

– Moja siostra mnie zdradziła – odparła cicho. – A teraz nastał czas, bym to ja zdradziła ją.

Luanda zamknęła oczy i dała ostatni krok, schodząc z mostu na drugą stronę Kanionu.

Wtem za nią rozległ się świst, kłębiąca się mgła wystrzeliły w górę z dna Kanionu, unosząc się wielką falą, i równie gwałtownie opadła. Rozległ się dźwięk, jak gdyby pękającej ziemi, i Luanda miała pewność, że Tarcza opadła. Że teraz nic już nie stało pomiędzy armią Romulusa a Kręgiem. Że Tarcza została zniszczona na zawsze.

Romulus spojrzał na nią. Luanda stała dzielnie stopę dalej zwrócona ku niemu, nie drgnąwszy nawet, wpatrując się w niego wyzywająco. Odczuwała trwogę, lecz nie dała tego po sobie poznać. Nie chciała pozwolić, by czerpał z tej chwili satysfakcję. Chciała, by zabił ją, gdy patrzyła mu prosto w twarz. Przyniosłoby jej to jakąś pociechę. Pragnęła jedynie, by już to zrobił.

Miał tego Romulus uśmiechnął się tylko szerzej i wpatrywał wciąż w nią, a nie – jak się spodziewała – w most.

– Masz to, czego pragnąłeś – rzekła, zbita z pantałyku. – Tarcza opadła. Krag jest twój. Nie zamierzasz mnie zabić?

Potrząsnął głową.

– Nie jesteś taka, jak sądziłem – rzekł w końcu, oceniając ją. – Być może pozwolę ci żyć. Może nawet pojmem cię za żonę.

Luandzie zrobiło się niedobrze na tę myśl; nie takiej reakcji pragnęła.

Odchyliła się i splunęła mu w twarz z nadzieją, że to skłoni go, by ją zabić.

Romulus uniósł rękę i otarł twarz wierzchnią stroną dłoni, a Luanda skuliła się przed mającym nadejść uderzeniem, spodziewając się, że zdzieli ją jak wcześniej, roztrzaska jej szczękę – że robi

cokolwiek, lecz nie będzie to przyjemne. Miast tego dał krok naprzód, schwycił ją za włosy z tyłu głowy, przyciągnął do siebie i pocałował mocno.

Poczuła jego wargi, groteskowe, spękanе, umięśnione, przypominające węża, gdy przyciskał ją do siebie, coraz mocniej i mocniej, tak mocno, że ledwie była w stanie oddychać.

Wreszcie odsunął się – i zdzielił ją wierzchnią stroną dłoni, uderzając tak mocno, że aż zapiekła ją skóra.

– Skujcie ją łańcuchem i trzymajcie blisko mnie – rozkazał.

Ledwie skończył wypowiadać te słowa, a jego ludzie już podeszli i unieruchamiali jej ręce za plecami.

Romulus otworzył oczy z rozkoszą, gdy wyszedł przed swych ludzi i, przygotowując się, postawił pierwszy krok na moście.

Nie zatrzymała go Tarcza. Stał bezpiecznie na moście.

Na twarzy Romulusa wykwił szeroki uśmiech, po czym mężczyzna ryknął śmiechem, rozkładając szeroko ramiona i odrzucając głowę w tył. Zaniósł się triumfalnym śmiechem, który poniosł się przez Kanion.

– To moje – zagrzmiął. – To wszystko moje!

Jego głos poniosł się echem, raz za razem.

– Mężowie! – dodał. – Do ataku!

Jego oddziały przemknęły galopem obok niego, wyrzucając z siebie głośny krzyk, któremu wysoko w górze zawtórowały dziesiątki smoków. Uderzały skrzydłami i leciały, szybując ponad Kanionem. Wdarły się w kłęby mgły, a ich ryki poniosły się aż po nieboskłon i obwieściły światu, że Krąg nigdy już nie będzie taki jak niegdyś.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Alistair leżała w ramionach Ereca na dziobie ogromnego okrętu, który kołysał się w górę i w dół. Obok niego przetaczały się ogromne fale oceaniczne. Alistair podniosła wzrok, oczarowana milionami czerwonych gwiazd zaścielających nocne niebo, błyszczących w oddali; ciepła bryza wpadała na statek, muskając ją i kołysząc do snu. Alistair była zadowolona. Gdy była z Erekiem czuła, że wszystko jest tak, jak być powinno; tutaj, w tej części świata, na rozległym oceanie zdawało jej się, że wszystkie troski świata zniknęły. Przeszkody bez końca stawaly im na drodze, lecz teraz jej sny wreszcie się urzeczywistniały. Byli razem i nikt ani nic nie stało pomiędzy nimi. Wyruszyli już ku jego wyspie, jego ziemiom ojczystym, a gdy tam dotrą, poślubi go. Niczego na świecie nie pragnęła bardziej.

Erec przygarnął ją mocno do siebie, a ona przysunęła się i leżeli, wpatrując się we wszechświat, spowici delikatną oceaniczną mgiełką. Powieki poczęły jej ciążyć w tej cichej nocy pośrodku oceanu.

Wpatrując się w przestwór nieba, myślała o tym, jak wielki jest świat; myślała o swym bracie Thorgrinie, który wybrał się na wyprawę i zastanawiała się, gdzie dokładnie się teraz znajduje. Wiedziała, że wyruszył, by zobaczyć się z ich matką. Czy odnajdzie ją? Jaka ona jest? Czy rzeczywiście istnieje?

Po części Alistair pragnęła przyłączyć się do niego, także poznać ich matkę; po części tęskniła także za Kręgiem i pragnęła znaleźć się na powrót na znanej sobie ziemi. Górę w niej brało jednak podekscytowanie; była podekscytowana, że zacznie nowe życie z Erekiem w nowym miejscu, w nowym zakątku świata. Była podekscytowana, że pozna jego ludzi, przekona się, jak wygląda jego ojczyzna. Któż zamieszkuje Wyspy Południowe? zastanawiała się. Jacy są jego ludzie? Czy jego rodzina ją przyjmie? Czy ucieszy ich jej towarzystwo, czy poczują się przez nią zagrożeni? Czy z radością przyjmą wieść o ich zaślubinach? Czy też widzą na jej miejscu kogoś innego, kogoś spośród swoich?

Najbardziej jednak dręczyła ją myśl o tym, co o niej pomyślą, gdy dowiedzą się o jej mocach? Gdy dowiedzą się, że jest druidem? Czy uznają ją za dziwadło, za obcą, jak wszyscy inni?

– Opowiedz mi jeszcze o twych ziomkach – rzekła Alistair do Ereca.

Spojrzał na nią, po czym zwrócił wzrok na powrót ku niebu.

– A cóż chciałabyś wiedzieć?

– Opowiedz mi o swej rodzinie – powiedziała.

Erec zamyślił się na długą chwilę. Wreszcie odezwał się:

– Ojciec mój jest wspaniałym człowiekiem. Jest królem naszego ludu odkąd był w moim wieku. Jego zbliżająca się śmierć odmieni naszą wyspę na zawsze.

– A reszta twojej rodziny?

Erec wahał się przez długą chwilę. W końcu skinął głową.

– Mam siostrę... i brata – zawahał się. – Siostra moja i ja byliśmy sobie bardzo bliscy, gdyśmy dorastali. Lecz muszę cię przestrzec, iż łatwo można wzbudzić jej zazdrość. Nieufnie podchodzi do obcych i niechętnie wita nowe osoby w rodzie. A brat mój... – Erec zamilkł.

Alistair trąciła go delikatnie.

– O co chodzi?

– Nie spotkasz nigdy świetniejszego wojownika. Lecz jest mym młodszym bratem i zawsze rywalizował ze mną. Ja zawsze widziałem w nim brata, a on we mnie rywala, kogoś, kto jest mu przeszkodą. Nie wiem dlaczego, lecz tak po prostu jest. Żałuję, że nie jesteśmy sobie bliźsi.

Alistair spojrzała na niego zaskoczona. Nie pojmowała, jak ktokolwiek mógł nie spoglądać na Ereca z miłością.

– Czy teraz nadal tak jest? – spytała.

Erec wzruszył ramionami.

– Nie widziałem ich odkąd byłem dzieckiem. Po raz pierwszy powracam do ojczyzny; przeszło niemal trzydzieści cykli słonecznych. Nie wiem, czego się spodziewać. Jestem teraz bardziej człowiekiem z Kręgu. A jednak jeśli mój ojciec umrze... Jestem najstarszy. Lud będzie oczekiwał, że obejmę tron.

Alistair milczała, rozmyślając, nie chcąc go ponaglać.

– Czy tak właśnie zamierzasz postąpić?

Erec wzruszył ramionami.

– Nie pragnę tego. Lecz jeśli taka jest wola mego ojca... Nie będę mógł odmówić.

Alistair przyjrzała się mu uważnie.

– Darzysz go wielkim uczuciem.

Erec skinął głową. Alistair widziała, jak jego oczy błyszczą w świetle gwiazd.

– Modłę się jedynie, by nasz okręt przybił do brzegu, nim umrze.

Alistair zamyśliła się nad jego słowami.

– A twa matka? – zapytała. – Czy zapala do mnie sympatią?

Erec uśmiechnął się szeroko.

– Jak do własnej córki – powiedział. – Gdyż ujrzy, jak bardzo cię kocham.

Pocałowali się i Alistair oparła się na jego piersi. Spojrzała w niebo, wyciągnęła dłoń i ujęła rękę Erec'a.

– Pamiętaj o jednym, moja pani. Kocham cię. Ciebie nade wszystkich. Jedynie to ma znaczenie. Moi ludzie wyprawia nam najwspanialsze zaślubiny, jakie widziały Wyspy Południowe; urządzają wszelakie zabawy. Wszyscy ukochają cię i przyjmą.

Alistair utkwiała wzrok w gwiazdach, ściskając mocno rękę Erec'a, i popadła w zadumę. Nie wątpiła w uczucie, którym ją darzył, lecz zamyśliła się nad jego ludem, ludem, który on sam ledwie znał. Czy przyjmą ją tak, jak się tego spodziewał? Nie była tego wcale pewna.

Nagle Alistair usłyszała odgłos ciężkich kroków. Obejrzała się i spostrzegła, jak jeden z członków załogi podchodzi do relingu, unosi ponad głowę sporą martwą rybę i wyrzuca ją za burtę. W dole rozległ się delikatny plusk, a wkrótce większy, gdy inna ryba wyskoczyła ponad powierzchnię i pożarła pierwszą.

Wtem pod wodą rozległ się przeraźliwy dźwięk, niby jęki lub płacz, któremu towarzyszył kolejny dźwięk rozbryzgiwanej wody.

Alistair przeniosła wzrok na marynarza, nieprzyjemnego mężczyznę, nieogolonego, w łachmanach, który wychylał się za krawędź, szczerząc się jak prostak. Brakowało mu kilku zębów. Obrócił się i spojrzał wprost na nią, a twarz jego była okrutna, groteskowa w świetle gwiazd. Gdy patrzyła na niego, Alistair ogarnęło złe przeczucie.

– Co wyrzuciłeś za burtę? – spytał Erec.

– Flaki ryby simki – odparł.

– Ale czemu?

– To trucizna – odrzekł, szczerząc się. – Która ryba to zje, zdycha od razu.

Alistair spojrzała na niego przerażona.

– Ale dlaczego chcesz zabić ryby?

Mężczyzna uśmiechnął się szerzej.

– Lubię patrzeć, jak umierają. Lubię słuchać, jak piszczą i jak unoszą się na powierzchni brzuchami do góry. Raduje mnie to.

Mężczyzna odwrócił się i ruszył powoli z powrotem w kierunku załogi, a Alistair spoglądała za nim. Aż ciarki przeszły jej po plecach.

– Co się stało? – spytał ją Erec.

Alistair odwróciła wzrok i potrząsnęła głową, próbując odegnać to uczucie. Ono jednak nie chciało zniknąć; było to okropne przeczucie, nie była pewna skąd się brało.

– Nic, panie – powiedziała.

Ułożyła się znów w jego ramionach, próbując wmówić sobie, że wszystko jest w porządku. W głębi serca wiedziała jednak, że wcale tak nie było.

*

Erec przebudził się w nocy, czując jak statek kołysze się powoli w górę i w dół, i poznał natychmiast, że coś jest nie tak. Podpowiadał mu to wojownik wewnątrz niego, częśćka niego, która zawsze ostrzegała go na chwilę przed tym, nim stało się coś złego. Zawsze miał ten zmysł, odkąd był chłopcem.

Podniósł się raptownie, czujny, i rozejrzał wokoło. Odwrócił się i ujrzał, iż Alistair śpi spokojnie obok niego. Było wciąż ciemno, statek kołysał się na falach, lecz coś było nie tak. Rozejrzał się dokładnie dokoła, lecz nie spostrzegł nic, co mogłoby go zaniepokoić.

Zastanawiał się, jakie niebezpieczeństwo może czaić się tutaj, na tym odludziu? Czy był to tylko sen?

Zawierając swemu instynktowi, Erec sięgnął w dół po miecz. Lecz nim zdążył chwycić za rękojeść, poczuł nagle, jak ciężka sieć oplata jego ciało, przykrywa go. Spleciona była z najcięższego sznura, z jakim kiedykolwiek się zetknął, niemal tak ciężkiego, że zdołałby zmiażdżyć człowieka. Opadła na niego cała, oplatając ciasno.

Nim zdołał zareagować, poczuł, jak unosi się do góry, pochwycony jak zwierz w sieć, która zacisnęła się wokół niego tak ciasno, że nie mógł się nawet poruszyć. Ramiona, ręce, nadgarstki i stopy miał ściśnięte, przyciągnięte razem. Unosił się coraz wyżej i wyżej, aż znalazł się dobre dwadzieścia stóp nad pokładem, wisząc jak zwierz schwyty w pułapkę.

Erecowi serce tłukło się w piersi, gdy próbował pojąć, co się dzieje. Spojrzał w dół i ujrzał, że Alistair budzi się.

– Alistair! – krzyknął Erec.

W dole Alistair rozglądała się, szukając go wszędzie, a gdy w końcu podniosła wzrok i ujrzała go, serce jej zamarło.

– Erecu! – krzyknęła zdezorientowana.

Erec ujrzał, jak kilka tuzinów członków załogi z pochodniami zbliża się do niej. Na ich twarzach malowały się groteskowe uśmiechy, a w oczach czaiło się zło. Podchodzili coraz bliżej niej.

– Najwyższy czas, by się nią podzielił – odezwał się jeden z nich.

– Pokażę królownie, jak wygląda życie z marynarzem! – rzekł inny.

Ryknęli śmiechem.

– Wpierw ja – powiedział jeszcze inny.

– Dopiero po mnie – rzekł kolejny.

Erec szarpał się z całych sił, próbując się uwolnić, a marynarze zbliżali się coraz bardziej do Alistair. Lecz na nic się to nie zdało. Jego ramiona i ręce skrępowane były tak ciasno, że nie mógł nimi choćby poruszyć.

– ALISTAIR! – krzyknął rozpaczliwie.

Nie mógł jednak zrobić nic, tylko patrzeć, zawieszony w górze.

Trzech marynarzy przyskoczyło nagle do Alistair od tyłu; Alistair krzyknęła, gdy postawili ją szarpnięciem na nogi, rozdarli koszulę i unieruchomili ręce za plecami. Trzymali ją mocno, a kilku kolejnych marynarzy zbliżyło się.

Erec rozejrzał się po statku w poszukiwaniu kapitana; ujrzał go na górnym pokładzie, patrzącego w dół, przyglądającego się temu, co się działo.

– Kapitanie! – wrzasnął Erec. – To twój okręt! Zaradz temu!

Kapitan spojrzał na niego, po czym powoli zwrócił się ku nim plecami, jak gdyby nie chciał na to patrzeć.

Erec patrzył zrozpaczony, jak jeden z marynarzy wyciąga nóż i przykłada go do gardła Alistair. Alistair krzyknęła.

– NIE! – wrzasnął Erec.

Miał wrażenie, że widzi swój koszmar – a co gorsza, nie mógł zrobić nic, by go przerwać.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Thorgrin stał naprzeciw Andronicusa. Byli sami na polu bitewnym, wokoło nich martwi żołnierze. Thor uniósł miecz wysoko i opuścił, mierzając w pierś Andronicusa; wtem Andronicus rzucił swą broń, uśmiechnął się szeroko i wyciągnął ręce, by go objąć.

Synu mój.

Thor próbował zatrzymać swój miecz, lecz było już za późno. Miecz przeciął przez jego ojca i gdy Andronicus został rozcięty na dwoje, Thor pograżył się w rozpacz.

Thor mrugnął i ujrzał, że idzie nieskończenie długą alejką, trzymając Gwen za rękę. Zdał sobie sprawę, że to ich orszak weselny. Szli w kierunku krwistoczerwonego słońca i gdy Thor rozejrzał się na obydwie boki, ujrzał, że wszystkie siedziska są puste. Odwrócił się i spojrzał na Gwen, a gdy ona zwróciła na niego spojrzenie, Thor przeraził się, gdyż jej skóra poczęła wysychać i Gwen stała się kościotrupem, a następnie rozpadła się w pył w jego dłoni. Osypała się w kupkę popiołu u jego stóp.

Thor stał przed zamkiem swej matki. Jakimś sposobem pokonał most i stał przed ogromnymi dwuskrzydłowymi wrotami, złotymi, błyszczącymi, trzykrotnie wyższymi niż on. Nie było na nich żadnej klamki, Thor uniósł więc ręce i uderzał w nie otwartymi dłońmi, aż poczęły broczyć krwią. Odgłos poniósł się po świecie. Nikt jednak nie otworzył.

Thor odrzucił głowę w tył.

– Matko! – krzyknął.

Thor osunął się na kolana, a wtedy ziemia przemieniła się w błoto i Thor ześlizgnął się z klifu. Spadał i spadał setki stóp, młóćąc rękoma w powietrzu, ku wzburzonemu oceanowi. Wyciągnął ręce ku górze, ku niebu, patrząc, jak zamek matki znika mu z oczu, i wrzasnął.

Thor otworzył oczy, pozbawiony tchu. Wiatr muskał mu twarz. Rozejrzał się dokoła, próbując dojrzeć, gdzie się znajduje. Spojrzał w dół i ujrzał przesuwający się pod nim w zawrotnym tempie ocean. Podniósł wzrok i spostrzegł, że kurczowo zaciska dłonie na czymś szorstkim, a gdy usłyszał głośne uderzenia skrzydeł, dotarło do niego, że trzymał się łusek Mycoples. Dłonie jego były zimne od nocnego powietrza, a twarz odrętwiała od podmuchów morskiego wiatru. Mycoples leciała szybko, raz po raz uderzała skrzydłami, i gdy Thor spojrzał przed siebie, zdał sobie sprawę z tego, że zasnął na jej grzbiecie. Wciąż lecieli, już od wielu dni, mknąc pod nocnym niebem, pod milionem migoczących czerwonych gwiazd.

Thor westchnął i otarł kark, który zroszony był potem. Poprzysiągł pozostać czujnym, lecz minęło już tak wiele dni ich wspólnej wyprawy, lotu, poszukiwań Krainy Druidów. Szczęśliwie Mycoples, znając go tak dobrze, wiedziała, że usnął i leciała równo, tak, by nie spadł. Lecieli razem już tak długo, że stali się jak jedno. Choć tęsknił za Kręgiem, Thor był zachwycony, że może przynajmniej być znów ze swą dawną przyjaciółką i wraz z nią przemierzać świat; widział, że i ona raduje się, iż z nim jest i pomrukuje z zadowolenia. Wiedział, że Mycoples nigdy nie pozwoli, by stało mu się coś złego – i on tak samo myślał o niej.

Thor spojrzał w dół i przyjrzał się uważnie spienionym, świetliście zielonym wodom morza; było to dziwne morze, egzotyczne, jakiego nigdy uprzednio nie widział, jedno z wielu, które minęli podczas swych poszukiwań. Lecieli wciąż w tym samym kierunku, coraz bardziej na północ, podążając za strzałką medalionu, który znalazł w swej rodzinnej wsi. Thor czuł, że zbliżają się do jego matki, do jej krainy, do Krainy Druidów. Wyczuwał to.

Thor modlił się, by strzałka dokładnie wskazywała kierunek. W głębi duszy czuł, że tak jest. Każdą cząstką siebie wyczuwał, że prowadzi ich coraz bliżej jego matki, jego przeznaczenia.

Thor przetarł oczy, zdecydowany, by już nie zasnąć. Sądził, że do tej pory odnajdą już Krainę Druidów; miał wrażenie, że przebyli pół świata. Przez chwilę zaniepokoił się: co jeśli wszystko to było urojeniem? Co jeśli jego matka nie istnieje? Co jeśli Kraina Druidów nie istnieje? Co jeśli nie jest mu przeznaczone kiedykolwiek ją odnaleźć?

Próbował odegnać te myśli z głowy. Popędził Mycoples.

Szybciej, pomyślał Thor.

Mycoples zamruczała i uderzyła skrzydłami mocniej. Opuściła łeb i zanurkowali w mgłę, zmierzając ku jakiemuś punktowi na widnokręgu, który – o czym Thor wiedział – mógł nawet wcale nie istnieć.

*

Dzień wstał, jakiego Thor jeszcze nie widział. Niebo zalane było promieniami nie dwu, a trzech słońc, które wschodziły równocześnie w różnych miejscach na widnokręgu, jedno czerwone, jedno zielone, jedno fioletowe. Lecieli tuż nad chmurami, które rozpościerały się pod nimi, niby kobierzec barw, tak blisko, że Thor mógł ich dotknąć. Thor rozkoszował się najpiękniejszym wschodem słońca, jaki kiedykolwiek widział. Różne barwy słońc przedzierały się przez chmury, a ich promienie przeświecały to pod nim, to nad nim. Czuł, jak gdyby świat dopiero się rodził.

Thor pokierował Mycoples w dół i wpadłszy w obłok poczuł wilgoć; w jednej chwili wszystko wokoło skąpane było w różnorodnych barwach, a następnie nie widział nic. Gdy wypadli z chmur, Thor spodziewał się ujrzeć kolejny ocean, kolejny bezkresny przestwór nicości.

Jednak tym razem było tam coś innego.

Serce Thora przyspieszyło, gdy spostrzegł pod nimi to, co zawsze pragnął ujrzeć, widok, który pojawiał się w jego snach. Tam, w oddali, jego oczom ukazał się ląd. Była to spowita mgłą wyspa pośrodku niezwykłego oceanu, rozległego i głębokiego. Jego medalion zadrżał i opuściwszy wzrok Thor ujrzał, że strzałka błyska i wskazuje prosto w dół. Lecz teraz nie musiał już nawet na nią patrzeć, by to wiedzieć. Czuł to każdą cząstką siebie. Była tam. Jego matka. Magiczna Kraina Druidów istniała, a on do niej dotarł.

W dół, przyjaciółko, pomyślał Thor.

Mycoples obniżyła lot i gdy zbliżyli się, wyspę widać było lepiej. Thor ujrzał niekończące się kwietne pola, zdumiewająco podobne do tych, które widział w Królewskim Dworze. Nie pojmował tego. Wyspa zdała mu się tak znajoma, niemal tak, jak gdyby powrócił do domu. Spodziewał się, że kraina ta będzie bardziej egzotyczna. Dziwne zdało mu się, jak nieprawdopodobnie znajoma była. Jak to możliwe?

Wyspę otaczała rozległa plaża o połyskującym czerwonym piasku, o którą rozbijały się fale. Gdy się zbliżyli, Thor ujrzał coś, co go zaskoczyło: zdawało się, że w głąb wyspy prowadzi wejście, dwie masywne kolumny wznoszące się ku nieboskładowi, najwyższe kolumny, jakie kiedykolwiek widział, znikające w chmurach. Mur, wysoki może na dwadzieścia stóp, otaczał całą wyspę i zdawało się, że wejść tam można tylko na nogach.

Siedząc na grzbiecie Mycoples Thor pomyślał, że nie musi przechodzić pomiędzy kolumnami. Zamierzał przelecieć nad ścianą i wylądować na wyspie gdziekolwiek mu się spodoba. Nie przybył však pieszo.

Thor pokierował Mycoples, by przeleciała nad murem, lecz gdy smoczyca zbliżyła się do niego, nagle zaskoczyła Thora. Zaskrzeczała i raptownie cofnęła się, unosząc szpony w powietrzu, aż przechyliła się niemal pionowo. Zatrzymała się nagle, jak gdyby uderzyła w niewidoczną tarczę, a Thor trzymał się z całych sił. Poleciał jej, by leciała dalej, lecz ona nie poruszyła się ani trochę.

Wtedy Thor pojął: wyspę otaczała jakiegoś rodzaju energetyczna tarcza, tak potężna, że nawet Mycoples nie mogła się przez nią przedrzeć. Nie można było przelecieć nad murem; trzeba było minąć kolumny pieszo.

Thor pokierował Mycoples i zanurkowali na czerwony brzeg. Wylądowali przed kolumnami i Thor próbował pokierować Mycoples, by przeleciała pomiędzy nimi, przez szeroką bramę, by wkroczyła razem z nim do Krainy Druidów.

Lecz Mycoples znów cofnęła się, unosząc szpony.

Nie mogę tam wejść.

Thor poczuł, jak myśli Mycoples przepływają przez niego. Spojrzał na nią, ujrzał jak zamyka swe ogromne, błyszczące ślepie, mrugając, i pojął.

Mówiła mu, że będzie musiał wkroczyć do Krainy Druidów w pojedynkę.

Thor zszedł z jej grzbietu na czerwony piasek i stanął nad kolumnami, przyglądając się im.

– Nie mogę cię tu pozostawić, przyjaciółko – powiedział Thor. – Jest tu zbyt niebezpiecznie. Jeśli muszę iść sam, niech tak będzie. Powrót do domu i skryj się tam bezpiecznie. Zaczekaj tam na mnie.

Mycoples pokręciła łbem i opuściła go na ziemię. Położyła się z rezygnacją.

Będę czekać na ciebie po kres świata.

Thor widział, że zdecydowana była pozostać. Wiedział, że jest uparta, że nie odleci.

Thor pochylił się, pogłodził łuski na jej długim nosie, nachylił się i pocałował ją. Smoczyca zamruczała, uniosła łeb i wsparła go na jego piersi.

– Wróć po ciebie, moja przyjaciółko – powiedział Thor.

Thor odwrócił się w stronę kolumn ze szczerego złota, błyszczących w słońcu i niemal go oślepiających, i dał pierwszy krok. Mijając tę bramę i wkraczając wreszcie do Krainy Druidów, czuł jak jeszcze nigdy wcześniej, że żyje.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Gwendolyn jechała z tyłu powozu toczącego się po wiejskiej drodze, przewodząc wyprawie ludzi, która zmierzała powoli krętą drogą na zachód, oddalając się od Królewskiego Dworu. Gwendolyn była zadowolona, że jak dotąd wyprowadzenie ludzi przebiegało spokojnie i że pokonali już taką część drogi. Nie podobało jej się to, że musiała zostawić swe miasto, lecz była przynajmniej pewna, że znaleźli się już wystarczająco daleko, by jej lud był bezpieczny. Zbliżyli się już znacznie ku swemu celowi: zamierzali przekroczyć Zachodnie Przejście Kanionu, wsiąść na okręty czekające na Tartuwanie i przekroczyć wielki ocean ku Wyspom Górnym. Wiedziała, że to jedyny sposób, by zapewnić swemu ludowi bezpieczeństwo.

Tysiące ziomków Gwen maszerowały obok niej, tysiące innych toczyły się na swych wozach. W uszach Gwen pobrzmiwał odgłos końskich kopyt, miarowy stukot wozów, głosy ludzi. Poczula, że z wolna zatapia się w jednostajnym rytmie drogi, przyciskając Guwayne'a do piersi i kołysząc go. Obok niej siedzieli Steffen i Illepra, którzy towarzyszyli jej całą drogę.

Gwendolyn spojrzała na biegnącą przed nimi drogę i próbowała wyobrazić sobie, że jest w jakimkolwiek innym miejscu, tylko nie tu. Pracowała tak ciężko, by odbudować to królestwo, a teraz uciekała z niego. Wcielała w życie swój plan wyprowadzenia ludzi przez najazd McCloudów – lecz co istotniejsze, przez wszystkie pradawne przepowiednie, napomknięcia Argona, jej własne sny i przeczucie, że nieuchronnie zbliża się ku nim ich przeznaczenie. Lecz co – zastanawiała się – jeśli nie ma racji? Co jeśli to wszystko tylko sen, nocne zmartwienia? Co jeśli w Kręgu wszystko będzie w porządku? Co jeśli zareagowała zbyt raptownie, niepotrzebnie wyprowadziła ludzi? Mogła wszak poprowadzić swój lud do innego miasta w Kręgu, choćby do Silesii. Nie musiała przeprawiać ich na drugą stronę oceanu.

Przewidywała jednakże, że Krąg zostanie doszczętnie zniszczony. Sądząc po wszystkim, co przeczytała, usłyszała i przeczuwała, zniszczenie było rychłe. Przekonywała samą siebie, że wyprowadzenie ludzi było koniecznością.

Wpatrując się w horyzont, Gwen zapragnęła, by Thor był tutaj, przy niej. Podniosła wzrok i spojrzała w nieboskłon, zastanawiając się, gdzie też on teraz jest. Czy odnalazł Krainę Druidów? Czy odnalazł swą matkę? Czy powróci do niej?

I czy kiedykolwiek odbędą się ich zaślubiny?

Gwen spojrzała w dół, w oczy Guwayne'a, i ujrzała spoglądającego na nią Thora, jego szare oczy. Przygarnęła syna mocniej do piersi. Starła się nie myśleć o ofierze, na którą musiała przystać w Nibyświecie. Czy to wszystko się spełni? Czy los będzie tak okrutny?

– Pani?

Gwen drgnęła na dźwięk tego głosu; odwróciła się i ujrzała Steffena, zwróconego w bok w powozie, wskazującego na niebo. Spostrzegła, że wokoło jej ludzie zatrzymywali się i nagle poczuła, jak jej powóz także raptownie staje. Nie rozumiała, dlaczego stangret miałby zatrzymać się bez jej rozkazu.

Gwen powiodła wzrokiem za palcem Steffena i tam, na widnokręgu, ku swemu zaskoczeniu ujrzała trzy płonące strzały wystrzelone prosto w górę. Wzniosły się i opadły łukiem, lecąc ku ziemi niby spadające gwiazdy. Była w szoku. Trzy płonące strzały mogły oznaczać tylko jedno: był to znak MacGilów. Szpony sokoła, używane, by zasygnalizować zwycięstwo. Był to znak używany przez jej ojca, a przed nim przez jego ojca, znak przeznaczony jedynie dla MacGilów. Nie można było się omylić: oznaczało to, że MacGilowie zwyciężyli. Odzyskali Królewski Dwór.

Lecz jak to możliwe? – zastanawiała się. Kiedy opuszczali miasto, nie było najmniejszej nawet nadziei na zwycięstwo ani na przetrwanie. Jej miasto zostało zdobyte przez McCloudów i nie pozostał tam nikt, by go bronić.

Gwen zauważyła, że w oddali, na widnokręgu, wznosi się chorągiew, coraz wyżej i wyżej. Zmrużyła oczy i teraz także nie było mowy o omyłce: była to chorągiew MacGilów. Mogło to oznaczać jedynie, że Królewski Dwór znalazł się na powrót w ich rękach.

Z jednej strony Gwen rozpieszczała radość i pragnęła natychmiast zawrócić. Z drugiej jednakże, patrząc na drogę, którą jechali, pomyślała o przepowiedniach Argona, o zwojach, które przeczytała, o swych własnych przeczuciach. W głębi duszy nadal uważała, że jej lud musi zostać wyprowadzony. Być może i MacGilowie odzyskali Królewski Dwór; lecz to nie oznaczało, że Krąg jest bezpieczny. Gwendolyn wciąż była pewna, że zbliża się coś znacznie gorszego i że musi wydostać stąd swych ludzi i poprowadzić w bezpieczne miejsce.

– Zdaje się, że odnieśliśmy zwycięstwo – powiedział Steffen.

– Mamy powody do radości! – zawołał Aberthol, zbliżając się do jej powozu.

– Królewski Dwór znów jest nasz! – wrzasnął jakiś chłop z tłumu.

Wśród jej ludzi rozległy się głośne krzyki radości.

– Trzeba natychmiast zawrócić! – zawołał inny.

Rozległy się kolejne radosne okrzyki. Gwen pokręciła jednak stanowczo głową. Wstała i zwróciła się do swych ludzi. Spojrzenia wszystkich skierowały się na nią.

– Nie zawrócimy! – zagrmiała do nich. – Nie zatrzymamy się. Wiem, że na Krąg czyha wielkie niebezpieczeństwo. Muszę doprowadzić was w bezpieczne miejsce, póki czas, póki wciąż mamy na to szansę.

Wśród jej ludzi rozległ się jęk niezadowolenia i kilku wieśniaków wyszło naprzód, wskazując na horyzont.

– Nie wiem, co wy na to – ryknął jeden z nich. – Ale moim domem jest Królewski Dwór! Jest tam wszystko, co znam i kocham! Nie przebędę morza do jakiejś obcej wyspy, gdy nasze miasto jest całe i w rękach MacGilów! Zawracam do Królewskiego Dworu!

Rozległ się głośny wiwat i gdy mężczyzna ruszył z powrotem, setki ludzi poszły w jego ślady, zawracając swe wozy i kierując się na powrót ku Królewskiemu Dworowi.

– Pani, czy mam ich zatrzymać? – zapytał Steffen, spanikowany, jak zawsze lojalny.

– Słyszysz głos ludu, pani – rzekł Aberthol, podchodząc do niej. – Sprzeciwienie się im byłoby niemądre. Nadto, nie możesz tego uczynić. To ich dom. Nie znają nic poza nim. Nie walczyć ze swym ludem. Nie wyprowadzaj ich bez dobrego powodu.

– Ależ ja mam dobry powód – powiedziała Gwen. – Wiem, że nadciąga coś, co nas zniszczy. Aberthol pokręcił głową.

– Oni jednak o tym nie wiedzą – odparł. – Nie wątpię w twoje słowa, pani. Lecz królowe planują naprzód, a tłum polega na instynkcie. Królowa jest potężna jedynie na tyle, na ile pozwala jej tłum.

Gwen stała, ogarnięta frustracją, patrząc, jak jej lud sprzeciwia się rozkazowi, ruszając z powrotem do Królewskiego Dworu. Po raz pierwszy otwarcie się zbuntowali, otwarcie się jej przeciwstawili. Nie podobało jej się to uczucie. Czy było to zwiastun nadchodzących wydarzeń? Czy jej dni jako królowej były policzone?

– Pani, czy rozkazać żołnierzom ich zatrzymać? – zapytał Steffen.

Miała wrażenie, że on jeden pozostał lojalny względem niej. W głębi duszy pragnęła odpowiedzieć twierdząco.

Lecz gdy patrzyła, jak odchodzą, wiedziała, że byłoby to daremne.

– Nie – rzekła cicho łamiącym się głosem, czując, jak gdyby jej dziecko właśnie się od niej odwróciło. Największy ból sprawiło jej to, że wiedziała, iż ich czyny doprowadzą jedynie do ich krzywdy, a ona nie mogła temu w żaden sposób zaradzić. – Nie mogę uchronić ich przed tym, co kryje dla nich przeznaczenie.

*

Gwendolyn, przynębiona, podążała za swym ludem na powrót do Królewskiego Dworu. Wjechała przez tylne bramy miasta i już tam słyszała odległe okrzyki radości dobiegające z drugiej strony. Jej ludzie nie posiadali się z radości, tańczyli i wiwatowali, i wyrzucali w górę nakrycia głowy, napływając przez bramy, powracając na dziedzicze miasta, które znali i kochali, miasta, które było ich domem. Każdy przepychał się, by powinszować Legionowi, Kendrickowi i zwycięskim Gwardzistom.

Gwendolyn jechała jednak, czując ucisk w dołku, miotana sprzecznymi uczuciami. Z jednej strony – co zrozumiałe – radowała się, że jest tu z powrotem, że zwyciężyli McCloudów, że Kendrick i pozostali byli bezpieczni. Była dumna, gdy ujrzała ciała McCloudów porozrzucane wszędzie wokół, i ogromnie się ucieszyła, ujrawszy, że jej bratu Godfreyowi udało się przeżyć i siedzi teraz na uboczu, wsparty głową, na której widniała rana, na dłoniach.

Zarazem jednak Gwendolyn nie potrafiła wyzbyć się głębokiego przeświadczenia, że coś jest nie tak, pewności, że czyha na nich wszystkich jakieś inne nieszczęście i że najlepiej dla jej ludu byłoby, gdyby wyprowadziła ich, nim będzie za późno.

Jej ludem zawładnęła jednak radość ze zwycięstwa. Nie zamierzali usłuchać głosu rozsądku i Gwen wjeżdżała wraz z tysiącami swych poddanych do rozległego miasta, które tak dobrze знаła. Gdy znaleźli się w środku, Gwen z ulgą spostrzegła, że McCloudowie zostali zabici szybko, nim zdążyli wyrządzić poważne szkody w starannie odbudowanym mieście.

– Gwendolyn!

Obróciwszy się, Gwendolyn ujrzała Kendricka. Zsiadł ze swego rumaka, pospieszył ku niej i objął ją. Odwzajemniła uścisk, podawszy Guwayne'a stojącej obok Illeprze. Zbroja Kendricka była twarda i zimna.

– Bracie mój – powiedziała, patrząc na niego. Jego oczy błyszczały zwycięsko. – Przynosisz nam chlubę. Nie tylko utrzymałeś nasze miasto, uczyniłeś znacznie więcej – rozgromiłeś najeźdźców. Ty i twoja Gwardia. Jesteś ucieleśnieniem naszego kodeksu honoru. Ojciec byłby dumny.

Kendrick skłonił się z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Dziękuję ci za te słowa, siostrze. Nie mogłem pozwolić, by twe miasto, nasze miasto, miasto ojca, zostało zniszczone przez tych barbarzyńców. Nie walczyłem w pojedynkę; powinnaś wiedzieć, że to nasz brat Godfrey stawiał pierwszy opór. On, wraz z garstką innych, także Legionem – oni wszyscy pomogli zatrzymać najeźdźców.

Gwen odwróciła się i ujrzała zbliżającego się do nich z pełnym udręki uśmiechem na twarzy Godfreya. Przykładał dłoń do boku głowy, który pokryty był zakrzepłą krwią.

– Dziś stałeś się mężczyzną, bracie mój – rzekła do niego z powagą, kładąc rękę na jego ramieniu. – Przyniosłeś chlubę naszemu ojcu.

Godfrey uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Pragnąłem jedynie cię ostrzec – powiedział.

Gwen uśmiechnęła się.

– Uczyniłeś o wiele więcej.

Zbliżyli się do nich Elden, O'Connor, Conven i tuziny legionistów.

– Pani – odezwał się Elden. – Nasi ludzie walczyli dzisiaj mężnie. Ze smutkiem muszę jednak przyznać, że straciliśmy wielu spośród nich.

Gwen spojrzała ponad jego ramieniem i ujrzała zwłoki zaścielające Królewski Dwór. Były wśród nich tysiące McCloudów – lecz także tuziny rekrutów z Legionu. Zginęła nawet garstka Gwardzistów. Przywołało to bolesne wspomnienia czasu, gdy po raz ostatni jej miasto zostało najechane. Gwen trudno było na to patrzeć.

Odwróciła się i ujrzała tuzin McCloudów pojmanych, wciąż żywych, z opuszczonymi głowami i rękoma skrepowanymi za plecami.

– Co to za jedni? – spytała.

– Generałowie McCloudów – odrzekł Kendrick. – Pozostawiliśmy ich przy życiu. Jedynie oni przeżyli z całej armii. Co rozkażesz z nimi uczynić?

Gwendolyn zlustrowała ich uważnie, patrząc im w oczy. Żaden nie odwrócił dumnego, wyzywającego spojrzenia. Ich gęby były prymitywne, typowe dla McCloudów. Skrucha była im obca.

Gwen westchnęła. Niegdyś sądziła, że pokój jest w stanie rozwiązać wszystkie problemy, że jeśli tylko będzie wystarczająco dobra i łaskawa dla swych sąsiadów, jeśli okaże im wystarczająco dużo życzliwości, odpłacą jej i jej ludowi dobrocią.

Im dłużej jednak władała królestwem, tym wyraźniej dostrzegała, że inni poczytywali okresy pokoju za oznakę słabości, za coś, co należy wykorzystać. Cały jej wysiłek, by utrzymać pokój zaowocował tym: niespodziewanym atakiem. I to w Dzień Pielgrzymki, najświętszy dzień roku.

Gwendolyn czuła, że hartuje się w środku. Nie była już tak naiwna, nie pokładała takiej wiary w ludziach, jak niegdyś. Poczynała wierzyć coraz bardziej tylko w jedno: żelazne rządy.

Gdy Kendrick i pozostali spojrzeli na nią, Gwendolyn rzekła głośno:

– Zabijcie ich – powiedziała.

Otworzyli oczy szeroko z zaskoczenia. Malował się w nich szacunek. Najwyraźniej nie spodziewali się tego po swej władczyni, która dążyła zawsze do utrzymania pokoju.

– Nie przesłyszałem się, pani? – spytał Kendrick zdumionym głosem.

Gwendolyn skinęła głową.

– Nie – odparła. – Gdy skończycie, zbierzcie ich ciała i wyrzucie je poza mury miasta.

Gwendolyn odwróciła się i ruszyła przez dziedziniec Królewskiego Dworu, a wtedy usłyszała za sobą krzyki McCloudów. Wzdrygnęła się wbrew sobie.

Gwen szła przez miasto, którego ulice wypełnione były trupami, lecz zarazem pełne radosnych okrzyków, muzyki i tanów. Tysiące ludzi tłoczyły się do swych domostw, powracając do miasta, jak gdyby nie zdarzyło się nic złego. Gdy Gwen im się przyglądała, w jej sercu wezbrała trwoga.

– Miasto jest znów nasze – powiedział Kendrick, zbliżając się do niej.

Gwendolyn pokręciła głową.

– Nie na długo.

Obrzucił ją zaskoczonym spojrzeniem.

– Co masz na myśli?

Zatrzymała się i zwróciła ku niemu.

– Widziałam przepowiednie – rzekła. – Pradawne pisma. Mówiłam z Argonem. Miałam sen. Czekają nas ataki. Powrót tutaj był błędem. Musimy natychmiast wyprowadzić wszystkich.

Kendrick spojrział na nią z pobladłą nagle twarzą, a Gwen westchnęła, lustrując wzrokiem swój lud.

– Lud mój nie zamierza jednak usłuchać.

Kendrick pokręcił głową.

– A co jeśli nie masz racji? – rzekł. – Co jeśli dopatrujesz się zbyt wiele w przepowiedniach? Mamy najświetniejszą walczącą armię na świecie. Nic nie osiągnie naszych bram. McCloudowie nie żyją i nie mamy już żadnych wrogów w Kręgu. Tarcza jest w górze, jest mocna. Nadto mamy Ralibara, gdziekolwiek się podziewa. Nie masz się czego lękać. *Nie mamy* się czego lękać.

Gwendolyn potrząsnęła głową.

– To właśnie w takich chwilach należy się lękać najbardziej – odrzekła.

Kendrick westchnął.

– Pani, taki atak się nie powtórzy – powiedział. – Zaskoczyli nas w Dzień Pielgrzymki. Nigdy już nie pozostawimy Królewskiego Dworu niechronionego. To miasto jest fortecą. Przetrwało tysiące lat. Nie ma już nikogo, kto mógłby nas zwyciężyć.

– Mylisz się – powiedziała.

– Cóż, nawet jeśli w istocie tak jest, widzisz, że lud nie zamierza stąd odejść. Siostró – rzekł Kendrick cicho, błagalnie. – Kocham cię. Lecz teraz mówię z tobą jako dowódca. Jako dowódca Srebrnej Gwardii. Jeśli spróbujesz wyprowadzić ludzi, zmusić ich, by robili to, czego nie chcą, grozi ci ich bunt. Oni nie dostrzegają niebezpieczeństwa, które widzisz ty. I, prawdę powiedziawszy, ja sam także go nie widzę.

Gwendolyn spojrzała na swych ludzi i wiedziała, że Kendrick ma rację. Nie usłuchają jej. Nawet jej własny brat jej nie wierzył.

I złamało jej to serce.

*

Gwendolyn stała sama przy balustradzie na dachu swego zamku, trzymając mocno Guwayne'a i obserwując chylące się ku zachodowi dwa słońca, zawieszane nisko na niebie. Z dołu dobiegały stłumione okrzyki jej ludzi przygotowujących się do hucznej zabawy tej nocy. Przed sobą miała to wznoszące się, to opadające ziemie rozpościerające się wokoło Królewskiego Dworu, królestwo w jego świetności. Wszędzie roiły się plony lata, bezkresne pola zieleni, sady, ziemie bujnie porośnięte dobrodziejstwem natury. Ziemia sprawiała wrażenie radej, odżyła po tak wielkiej tragedii, i Gwen patrzyła na świat żyjący w zgodzie ze sobą.

Gwendolyn zmarszczyła brwi, zastanawiając się, jakim sposobem jakiegokolwiek rodzaju mrok może dosięgnąć tych ziem. Może mrok, który uroiła sobie, nadszedł już w postaci McCloudów. Może już go uniknęli dzięki Kendrickowi i reszcie. Być może Kendrick miał rację. Może stała się zbyt ostrożna odkąd została królową, być może była świadkiem zbyt wielkich tragedii. Może, jak rzekł Kendrick, dopatrywała się czegoś, czego nie ma.

Wszak wyprowadzenie jej poddanych z domostw, przeprowadzenie ich przez Kanion, na okręty, ku Wyspom Górnym, na których nie wiadomo czego mogli się spodziewać, było drastycznym posunięciem, posunięciem odpowiednim na czas wielkiej katastrofy. Co jeśli to robi, a żadna tragedia nie spadnie na Krąg? Pamiętana będzie jako królowa, która poddała się panice, gdy żadne niebezpieczeństwo nawet się jeszcze nie ukazało.

Gwendolyn westchnęła, przygarniając Guwayne'a, który wiercił się na jej rękach, i zastanawiała się, czy traci rozum. Podniosła wzrok i rozejrzała się po nieboskłonie za jakimkolwiek śladem Thorgrina, modląc się, by go ujrzeć. Miała przynajmniej nadzieję, że spostrzeże jakiś ślad Ralibara, gdziekolwiek teraz był. Lecz on także nie powrócił.

Gwen wpatrywała się w puste niebo, raz jeszcze zawiedziona. Znów będzie musiała polegać na sobie. Nawet jej poddani, którzy zawsze ją popierali, którzy traktowali ją jak boga, teraz zdawali się jej nie ufać. Jej ojciec nie przygotował jej na to. Jakiego rodzaju królową będzie bez poparcia swego ludu? Będzie bezsilna.

Gwen rozpaczliwie pragnęła zwrócić się do kogoś po pociechę, po odpowiedzi. Lecz Thorgrin wyruszył na wyprawę; jej matka odeszła; zdawało się, że każdy, kogo znała i kochała, zniknął. Miała wrażenie, że stoi na rozstajnych drogach. Nigdy nie była bardziej skołowana.

Gwen zamknęła oczy i zwróciła się do Boga, by przyszedł jej z pomocą. Z całej siły swej woli próbowała przyzwać go. Nigdy nie modliła się wiele, lecz wierzyła mocno i była pewna, że Bóg istnieje.

Proszę, Boże, jestem taka skołowana. Wskaż mi, jak najlepiej chronić mój lud. Wskaż, jak najlepiej chronić Guwayne'a. Wskaż, jak być wspaniałą przywódczynią.

– Modlitwa jest potężna – dobiegł ją głos.

Gwen odwróciła się raptownie. Na dźwięk tego głosu natychmiast odczuła ulgę. Kilka stóp od niej stał Argon, odziany w swą białą pelerynę i kaptur. W dłoni trzymał laskę i wpatrywał się nie w Gwendolyn, a w horyzont.

– Argonie, muszę usłyszeć odpowiedzi na pewne pytania. Proszę. Pomóż mi.

– Zawsze poszukujemy odpowiedzi – odparł. – Lecz one nie zawsze nadchodzą. Nasze życia muszą się wypełnić. Nie zawsze możemy poznać przyszłość.

– Można jednak odczytać wskazówki – powiedziała Gwendolyn. – Wszystkie przepowiednie, które przeczytałam, wszystkie zwoje, historia Kręgu – wskazują na głęboki mrok, który się zbliża. Rzeknij mi. Czy nadejdzie?

Argon odwrócił się i patrzył na nią, a oczy jego wypełnione były płomieniem ciemniejszym i straszniejszym niż kiedykolwiek w nich widziała.

– Tak – odrzekł.

Ostateczność jego odpowiedzi strwożyła ją nade wszystko. Jego, Argona, który zawsze mówił zagadkami.

Gwen zadrżała wewnątrz.

– Czy dotrze tutaj, do Królewskiego Dworu?

– Tak – odparł.

Gwen poczuła, jak jej lęk się pogłębia. Umocniła się także w przekonaniu, iż od samego początku miała rację.

– Czy Krąg zostanie zniszczony? – spytała.

Argon zwrócił spojrzenie w jej stronę i powoli skinął głową.

– Mogę wyjawić ci jeszcze tylko kilka rzeczy – rzekł. – Jeśli tak postanowisz, ta będzie jedną z nich.

Gwen rozważała to długo i intensywnie. Wiedziała, że przepowiednie Argona są cenne. Jednakże było to coś, czego musiała się dowiedzieć.

– Rzeknij – powiedziała.

Argon wciągnął głęboko powietrze, odwrócił się i patrzył w horyzont przez, jak się zdawało, całe wieki.

– Krąg zostanie zniszczony. Wszystko, co znasz i kochasz, zostanie zmiecione z powierzchni ziemi. Na miejscu, w którym teraz stoisz, pozostaną jedynie żar i popiół. Cały Krąg obróci się w proch. Twój naród zniknie. Nadciąga mrok. Mrok głębszy niż wszystkie wcześniejsze w naszych dziejach.

Gwendolyn poczuła, jak prawdziwość jego słów dociera do każdej komórki jej ciała, jak głęboki tembr jego głosu przechodzi ją aż do szpiku kości. Wiedziała, że każde jego słowo to prawda.

– Mój lud tego nie dostrzega – rzekła drżącym głosem.

Argon wzruszył ramionami.

– Jesteś królową. Czasem siła jest koniecznością. Nie tylko w stosunku do wrogów. Także w stosunku do własnych poddanych. Postąp tak, jak uważasz. Nie szukaj zawsze aprobaty swego ludu. Aprobata przemija. Czasem, gdy twój lud najbardziej cię nienawidzi, jest to znak, że czynisz to, co dla nich najlepsze. Twemu ojcu dane było sprawować pokojowe rządy. Lecz ciebie, Gwendolyn, czeka znacznie trudniejszy sprawdzian: czekają cię żelazne rządy.

Gdy Argon odwrócił się, by odejść, Gwendolyn dała krok naprzód i wyciągnęła w jego stronę rękę.

– Argonie – zawołała.

Zatrzymał się, lecz nie odwrócił.

– Rzeknij mi jeszcze jedno. Błagam. Czy ujrzę jeszcze Thorgrina?

Argon nie odzywał się i zaległa długa, głucha cisza. W tej ponurej ciszy czuła, jak jej serce rozpada się na dwoje. Modliła się, by udzielił jej jeszcze tej jednej odpowiedzi.

– Tak – odrzekł.

Stała przed nim z mocno bijącym sercem. Pragnęła usłyszeć coś więcej.

– Czy nie możesz mi rzec nic więcej?

Odwrócił się i spojrzał na nią ze smutkiem.

– Pamiętaj o wyborze, którego dokonałaś. Nie każdej miłości dane jest trwać wiecznie.

Wysoko w górze Gwen usłyszała pisk sokoła i podniosła wzrok, zamyślona.

Zwróciła się na powrót ku Argonowi, lecz on już zniknął.

Przycisnęła Guwayne'a mocno do piersi i objęła wzrokiem swe królestwo. Patrzyła długo, po raz ostatni, pragnąc takim właśnie je zapamiętać, gdy było jeszcze wciąż pełne życia. Nim obróci się w popiół. Trwogą napawała ją myśl, jakie wielkie niebezpieczeństwo może czyhać za tym pozornym pięknem. Zadrżała, gdyż nie miała ani cienia wątpliwości, że dosięgnie ich wszystkich już niebawem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Stara krzyczała, spadając i młócąc rękoma w powietrzu. Obok niej leciał Reece, a obok niego Matus i Srog. Zeskoczyli z muru zamku w zacinającym deszczu i wietrze i lecieli prosto w dół. Stara skuliła się, gdy spostrzegła ogromne krzewy zbliżające się szybko w jej kierunku. Zrozumiała, że może przeżyć jedynie dzięki nim.

Chwilę później, gdy wpadła w krzak – który niemal wcale nie stłumił jej upadku – poczuła, jak gdyby każda kość w jej ciele pękła, i spadała dalej, aż uderzyła w ziemię. Poczuła, że brakuje jej tchu i pewna była, że stłukła sobie żebro. Jednocześnie zapadła się kilka cali i zdała sobie sprawę, że ziemia jest bardziej miękka, bardziej błotnista, niż sądziła, i złagodziła jej upadek.

Pozostali uderzyli w ziemię obok niej i wszyscy zaczęli się ześlizgiwać. Stara nie przewidziała, że wylądują na stromym zboczu i nim zdołała się zatrzymać, ześlizgiwała się już, pędziła w dół zbocza, a pozostali wraz z nią, nie mogąc wydostać się z lawiny błotnej.

Staczali się i ślizgali i niebawem poniosły ich rwące wody i zjeżdżali w dół zbocza z zawrotną prędkością. Ześlizgując się, Stara obejrzała się przez ramię i ujrzała, jak zamek jej ojca szybko znika jej z oczu. Przynajmniej znajdują się daleko od swych przeciwników.

Stara przeniosła wzrok na powrót w dół i usunęła się, unikając o włos skał znajdujących się na jej drodze. Osuwała się tak szybko, że niemal nie była w stanie złapać tchu. Błoto było nieprawdopodobnie śliskie, a deszcz padał teraz silniejszy. Wszystko wokół niej przemieszczało się z szybkością błyskawicy. Próbowwała zwolnić, wczepiając palce w błoto, lecz było to daremne.

Gdy Stara zastanawiała się, czy kiedykolwiek przestaną zjeżdżać, ogarnęła ją panika, gdyż przypomniawszy sobie, dokąd prowadzi to zbocze: prosto w przepaść. Zrozumiała, że jeśli wkrótce się nie zatrzymają, wszyscy zginą.

Stara spostrzegła, że także żaden z pozostałych nie potrafił się zatrzymać. Młócili dokoła rękoma, pojękując, i robili, co w ich mocy, by się zatrzymać, byli jednak bezsilni. Stara spojrzała przed siebie i ku swemu przerażeniu ujrzała zbliżający się spadek. Nie potrafiąc się zatrzymać, zmierzali prosto w przepaść.

Nagle Stara ujrzała, że Srog i Matus skręcają raptownie na lewo, ku niewielkiej jaskini zatkniętej na skraju przepaści. Jakimś sposobem zdołali uderzyć w skałę stopami i zatrzymali się tuż nad krawędzią.

Stara usiłowała wbić pięty w błoto, lecz nic nie przynosiło skutku; obróciła się jedynie. Wrzasnęła, ujrawszy zbliżającą się przepaść, wiedząc, iż za chwilę znajdzie się za krawędzią.

Nagle Stara poczuła, jak ktoś chwyta ją mocno za tył koszuli, spowalniając, a później zatrzymując. Zadarła głowę i ujrzała Reece'a. Schwycił się wątlęgo drzewka nad skrajem przepaści. Oplótł je jedną ręką, a drugą wyciągał w dół i trzymał Starę. Woda i błoto płynęły gwałtownie, spychając ją w dół. Osuwała się i niemal zwiślała już nad przepaścią. Zatrzymał ją, lecz osuwała się w dół.

Reece nie mógł jej dłużej utrzymać i wiedziała, że jeśli jej nie puści, niebawem oboje spadną w przepaść. Oboje zginą.

– Puść mnie! – krzyknęła do niego.

On jednak pokręcił zdecydowanie głową.

– Nigdy! – odkrzyknął przez strugi deszczu. Po twarzy ściekała mu woda.

Nagle Reece puścił drzewo, by móc schwycić przeguby jej dłoni obojgiem rąk; zarazem oplótł drzewo nogami, trzymając się go z tyłu. Z całej siły przyciągnął Starę do siebie. Od upadku w przepaść chroniły ich jedynie jego nogi.

Reece jęknął i krzyknął, i zdołał wyciągnąć Starę jednym szarpnięciem z nurtu na bok i pchnąć ku jaskini, ku reszcie. Reece przetoczył się razem z nią i sam wytoczył się z lawiny, po czym pomógł jej przedostać się do jaskini.

Gdy znaleźli się bezpiecznie w środku, Stara osunęła się, wycieńczona, i leżała na brzuchu w błocie, niezwykle wdzięczna, że żyje.

Leżała, dysząc ciężko i ociekając wodą, i myślała nie o tym, jak blisko śmierci się znalazła, lecz o czymś zgoła innym: czy Reece wciąż ją kocha? Zrozumiała, że na tym zależało jej bardziej nawet niż na tym, czy przeżyje.

*

Stara siedziała skulona przy niewielkim ognisku rozpalonym wewnątrz jaskini. Pozostali znajdowali się nieopodal. Wreszcie zaczęli wysychać. Rozejrzała się i zauważyła, że cała czwórka wygląda tak, jak gdyby przeżyli wojnę. Mieli zapadnięte policzki i wpatrywali się w płomienie, wyciągając ku nim dłonie i rozcierając je, próbując schronić się przed nieustępującymi wilgocią i zimnem. Wsłuchiwali się w wicher i deszcz, nieodłączne elementy Wysp Górnych, hulające na zewnątrz. Zdawało się, że nigdy nie ustaną.

Zapadła już noc. Zwlekali z roznieceniem ogniska cały dzień z obawy, by ich nie spostrzeżono. Wreszcie byli już tak wyzieębieni, znużeni i przygnębieni, że podjęli to ryzyko. Stara sądziła, że upłynęło wystarczająco dużo czasu od ich ucieczki – nadto nie było mowy, by ci mężczyźni odważyli się wyruszyć tak daleko w dół, do klifów. Było zbyt stromo i mokro i gdyby spróbowali, zginęliby.

Utknęli tutaj jednak niby więźniowie. Gdyby dali choć krok z jaskini, trafiliby w końcu w ręce wyspiarzy i zginęli. Jej brat nie okazałby jej łaski. Sytuacja była beznadziejna.

Siedziała w pobliżu nieobecnego, pogrążonego w zadumie Reece'a i rozmyślała nad minionymi wydarzeniami. Tam, w forcie, ocaliła Reece'owi życie, lecz on ocalił ją nad przepaścią. Czy wciąż zależało mu na niej, jak niegdyś? Tak jak jej wciąż zależało na nim? Czy też był nadal rozgoryczony przez to, co stało się z Selese? Czy winił ją za to? Czy kiedykolwiek jej przebaczy?

Stara nie potrafiła wyobrazić sobie bólu, jaki go dręczył, gdy siedział tak, z głową wspartą na dłoniach, wpatrując się w płomienie jak człowiek, który był zagubiony. Zastanawiała się, jakie myśli przemykają mu przez głowę. Wyglądał jak człowiek, który nie ma nic do stracenia, jak ktoś, kto otarł się o tragedię i nie doszedł jeszcze do siebie. Człowiek dręczony poczuciem winy. Nie przypominał chłopca, którego знаła niegdyś, pełnego miłości i radości, prędkiego do uśmiechu, który obsypywał ją miłością i czułością. Teraz, miast tego, wyglądał jak gdyby coś wewnątrz niego obumarło.

Stara podniosła wzrok, lękając się spojrzeć w oczy Reece'owi, lecz pragnąc ujrzeć jego twarz. Skrycie żywiła nadzieję, że będzie na nią patrzył, myślał o niej. Lecz gdy spojrzała na niego, serce jej pękło, gdy spostrzegła, że wcale na nią nie patrzy. Miast tego utkwiał wzrok w płomieniach. Nigdy jeszcze nie zdał się jej bardziej samotny.

Stara nie potrafiła przestać o tym myśleć. Po raz milionowy zastanawiała się, czy to, co ich łączyło, zniknęło, zniszczone przez śmierć Selese. Po raz milionowy przeklęła swych braci – i ojca – za wcielenie w życie tak przebiegłego planu. Zawsze, co oczywiste, pragnęła Reece'a dla siebie; nigdy jednak nie przystałaby na podstęp, który doprowadził do jej śmierci. Nie chciała, by Selese zginęła, ani by spotkała ją jakaś krzywda. Żywiła nadzieję, że Reece przekaże jej wieści delikatnie i choć będzie zmartwiona, przyjmie je – a z pewnością nie odbierze sobie życia. Ani nie zniszczy życia Reece'owi.

Teraz wszystkie plany Stary, cała jej przyszłość, sypały się na jej oczach przez jej okropną rodzinę. Matus był jedynym rozsądnym, w którego żyłach płynęła ta sama krew. Stara zastanawiała się jednak, co się z nim stanie, co stanie się z całą czwórką. Czy będą siedzieć tutaj, w tej jaskini, aż umrą? Będą musieli w końcu z niej wyjść. Wiedziała, że ludzie jej brata są nieustępliwi. Nie ustanie, póki nie uśmierci każdego z nich – zwłaszcza po tym, jak Reece zabił jej ojca.

Stara wiedziała, że powinna odczuwać żal przez wzgląd na śmierć swego ojca – nie odczuwała go jednak wcale. Nienawidziła tego mężczyzny. Zawsze tak było. Odczuwała miast tego ulgę, a

nawet wdzięczność względem Reece'a za to, że go zabił. Był kłamliwym, pozbawionym honoru wojownikiem i królem całe swe życie i wcale o nią nie dbał.

Stara zerknęła na trzech wojowników. Wyglądali na zrozpaczonych, siedząc tak w milczeniu od wielu już godzin, i zastanawiała się, czy którykolwiek z nich ma jakiś plan. Srog był ciężko raniony. Matus i Reece także odnieśli rany, choć lżejsze. Zdawało się, że ziać przeniknął każdego z nich do szpiku kości i siedzieli przybici aurą tego miejsca, okolicznościami, które zwróciły się przeciw nim.

– Będziemy tu siedzieć, w tej jaskini, po wsze czasy i tu umrzemy? – spytała Stara, przerywając głuchą ciszę, nie mogąc już znieść tej jednostajności i mroku.

Srog i Matus z wolna podnieśli na nią wzrok. Reece wciąż nie podnosił głowy ani nie patrzył na nią.

– A dokąd mielibyśmy pójść? – spytał Srog defensywnie. – Na całej wyspie roi się od ludzi twego brata. Jaką szansę mamy, by ich zwyciężyć? Zwłaszcza, gdy są rozwścieczeni naszą ucieczką i śmiercią twego ojca.

– Wpędziłeś nas w niezłe tarapaty, kuzynie – rzekł Matus z uśmiechem, kładąc dłoń na ramieniu Reece'a. – Postąpiłeś odważnie. Nie widziałem chyba w całym swym życiu odważniejszego czynu.

Reece wzruszył ramionami.

– Pojmał moją oblubienicę. Zasługiwał na śmierć.

Stara zastygła na dźwięk słowa *oblubienica*. Serce jej pękło. Wybór tego właśnie słowa wyjawiał jej wszystko – najwyraźniej Reece wciąż darzył uczuciem Selese. Nie spojrzał nawet Starze w oczy. Miała chęć się rozplakać.

– Nie troskaj się, kuzynie – powiedział Matus. – Raduję się, że ojciec mój nie żyje i jestem zadowolony, że to ty zadałeś mu śmierć. Nie mam ci tego za złe. Podziwiam cię. Mimo tego, żeśmy niemal zginęli przez ciebie, gdyś tego dokonywał.

Reece skinął głową, doceniając słowa Matusa.

– Żaden z was mi nie odpowiedział – rzekła Stara. – Jaki jest wasz plan? Umrzeć tutaj?

– A jaki ty masz plan? – odwarknął Reece.

– Nie mam żadnego – powiedziała. – Wykonałam, co do mnie należało. Wyprowadziłam nas stamtąd.

– To prawda – przyznał Reece, wciąż wpatrując się w płomienie i nie patrząc na nią. – Uratowałam mi życie.

W Starze zakiełkowała nadzieja, gdy usłyszała słowa Reece'a, mimo tego, że wciąż nie patrzył jej w oczy. Zastanawiała się, czy może jednak omyliła się, sądząc, że ją nienawidzi.

– A ty mnie – odparła. – Nad przepaścią. Wyrównaliśmy rachunki.

Reece wciąż wpatrywał się w płomienie.

Czekała, czy rzeknie coś w odpowiedzi, czy rzeknie, że ją kocha, czy rzeknie cokolwiek. Lecz on się nie odzywał. Stara poczuła, że do twarzy napływa jej krew.

– To tyle? – powiedziała. – Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia? Sprawy między nami są skończone?

Reece uniósł głowę, po raz pierwszy patrząc jej w oczy z konsternacją.

Stara nie była w stanie dłużej tego znieść. Skoczyła na nogi i ruszyła szybkim krokiem ku wyjściu z jaskini, gdzie zatrzymała się tyłem do nich. Wyjrzała w noc, w deszcz, wiatr i zamyśliła się: czy między nią a Reece'em wszystko było skończone? Jeśli w istocie tak było, nie widziała powodu, by dalej żyć.

– Moglibyśmy skryć się na okrętach – rzekł w końcu Reece po zdającej się nie mieć końca ciszy. Jego skąpe słowa rozbrzmiały w nocy.

Stara obróciła się i spojrzała na niego.

– Skryć się na okrętach? – zapytała.

Reece przytaknął ruchem głowy.

– Tam, w porcie, są nasi ludzie. Musimy do nich dotrzeć. To ostatni teren w tym miejscu należący do MacGilów.

Stara potrząsnęła głową.

– To nierozważny plan – powiedziała. – Okręty będą otoczone, o ile już nie zostały zniszczone. Musielibyśmy przedrzeć się przez wszystkich ludzi mego brata, by się tam dostać. Lepiej skryć się gdzie indziej na wyspie.

Reece pokręcił głową, zdecydowany.

– Nie – rzekł. – To *nasi* ludzie. Musimy się do nich dostać bez względu na to, jak przyjdzie nam za to zapłacić. Jeśli zostaną zaatakowani, polegniemy walcząc u ich boku.

– Chyba nie pojmujesz – odrzekła, równie zdecydowana. – O świecie tysiące ludzi mego brata rozproszy się po brzegu. Nie zdołamy ich ominąć.

Reece podniósł się, strząsając wilgoć z odzienia, a w oczach jego rozgorzał ogień.

– Nie będziemy zatem czekać do świtu – powiedział. – Wyruszymy teraz. Nim słońce wzejdzie.

Matus także z wolna się podniósł, a Reece spojrzał na Sroga.

– Srogu? – zapytał Matus. – Podłacie?

Srok skrzywił się, wstając nieporadnie. Matus podał mu rękę.

– Nie będę was spowalniał – powiedział Srog. – Idźcie beze mnie. Zostanę tutaj, w jaskini.

– Umrzecie tutaj, w jaskini – rzekł Matus.

– Zatem wy nie umrzecie ze mną – odparł.

Reece pokręcił głową.

– *Nikt nie zostaje z tyłu* – powiedział. – Pójdiesz z nami, bez względu na to, jakie będą tego skutki.

Reece, Matus i Srog podeszli do Stary stojącej u wyjścia z jaskini i wyjrzeli w wyjący wicher i deszcz. Stara omiotła spojrzeniem trzech mężczyzn, zastanawiając się, czy postradali zmysły.

– Pytałaś o plan – rzekł Reece, zwracając się ku niej. – Cóż, właśnie go wymyśliliśmy.

Pokręciła powoli głową.

– Jest nierozważny – powiedziała. – Tak właśnie mają w zwyczaju postępować mężczyźni. Najpewniej zginiemy w drodze ku okrętom.

Reece wzruszył ramionami.

– Kiedyś i tak wszyscy umrzemy.

Stali, przyglądając się szalejącej na zewnątrz pogodzie, czekając na odpowiedni moment. Stara czekała, by Reece coś zrobił – cokolwiek – by ujął jej dłoń, by pokazał jej, choćby w nieznacznym sposób, że wciąż mu na niej zależy.

Nie uczynił tego jednak. Trzymał dłoń przy sobie i Stara czuła, jak hartuje się, pęka wewnątrz. Zebrała się w sobie, gotowa wyruszać, nie dbając już o to, co szykuje dla niej los. Dali krok w ciemność i do Stary dotarło, że – pozbawiona miłości Reece'a – nie ma już nic do stracenia.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Alistair stała na statku, przerażona, z rękoma skrzepowanymi za plecami, a serce waliło jej jak młotem, gdy tuziny marynarzy zacieśniały się dokoła niej z pożądaniem i śmiercią w oczach. Pojęła, że ci mężczyźni zamierzali ją pohańbić, torturować i zabić, i że będą czerpać z tego przyjemność. Nie mogła się nadziwić, że takie zło istnieje na świecie i przez chwilę miała trudności ze zrozumieniem ludzkości.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.